12 stron

Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 15 lipca 1945 r. | Nr. 33

MIECZYSŁAW JASTRUN

Z tysiąca deszczów

Z tysiąca deszczów, co szarpały młodości mej drzewa,
Pozostał jeden, ten oto deszcz.
O jakże szumi, jak pada bez tchu wiosenna ulewa.
Kołysz się drzewo i szum i trzeszcz!

Z tysiąca żywołów może jeden zupełny złożę.
A oto węższy jest świat
Niż marzyliśmy: o całe niebo, o glob, o morze.
Czym ręce na cieniach kładł?

Z dziesięciu wrogich narodów możeby jeden ocalał
Nowego życia wart,
Które trwonimy jak deszcz trwoni się w mglistych
Dotknięciem spłoszonych warg. [dalach

1943 r.

Nauka

Jakiego czaru mógłbym się nauczyć
Dziś jeszcze? powiedz, jeszcze nie za późno —
Nimfa dzieciństwa, jeszcze dziś usłużna,
Nieraz mi do snu użyczała kluczy.

Zieleń tak jasna, że jej nie powtórzy
Nikt, błękit, który mi się jeszcze wzbrania,
Cienie dąbrowy po wiosennej burzy —
I wszystko, oprócz dawnego kochania.

Jest na ogrodzie pałac letnich snów.
Promienie spiesznie otwierają kwiaty,
W nagrzanych trawach węszą sfory psów
O wąskich pyskach i sierści kosmatej.

Jakiego czaru chcesz? Jaki ci obcy
Kształt uczuć ludzkich? choćby to był cień?
Z zachodu słońca, jak z rozdartej owcy,
Bluznęła krew. Z krwią ciemność miesza czerń
I głośniej bije serce.

Dymy jak głowy ściętych miast,
Kołana stygną w kamień, ręce
Wzniesione jak szczerniały maszt
Skamieniałego okrętu, który nie popłynie więcej.

Wiosna 1944 r.

Maj

O wezbrana zwycięstwem, unoszona dalal
Gorąca rzeko ludzka — z zachodu — na zachód —
W głosach tych, co odeszli i tych, co wracają
Na ziemię niskich deszczów i wysokich ptaków.

Kto czuł na własnych stopach całą przestrzeń rozstań,
Kto w oczach nie zwilżonych lazurami uniósł
Taką wiosnę, kto wczoraj jak kret spał pod runią,
Ten nie wrócił, lecz z martwych wywołany powstał.

Widząc powracających, widząc ocalonych
O zmieszanych z przestrzenią i ze śmiercią rysach,
Darmo chciałem tę chwilę zatrzymać, zapisać —
Minęła i odeszła do swych sióstr minionych.

A ja ledwom zmysłami otwartymi chwytał
Powietrze, wracających radość i zadumę,
Burzę chorągwi, w przyszłość wzlatujących z szumem
I kroki na wiosennie odmłodzonych płytach

1945 r.

Żywy

Między zatrzaskującymi się wiekami sekund,
Trumien powietrza,
Przemykam się żywy, aż po ostatnie wieko,
Po wzburzoną wieczorem chmurę.

I ciężko mi i gorzko od tego sąsiedztwa:
Powietrze pełne jest śmierci.
Słyszę jej czarne echo:
Moją jest każda rzecz twa.

I wiem, że mam ją tu na ostrzu pióra.
Wszystkie czary posępne materii
Roją się wokół mnie, — aż jak bajeczna góra
Zamyka się nade mną:

Lżejsza od światła, istniejąca pierwej
Ciemność!

1943 r.

Dedykacja

Jeżeli kiedyś dzieło napiszę,
Które przez wielu będzie czytane,
Chcę, aby o was było pisane
Słowami, które znają swą ciszę,

O was, nieznani bohaterowie,
Na pozór drwiący z niebezpieczeństwa,
Prości w uczuciach, oszczędni w mowie
I od własnego skromniejsi męstwa.

Rok był czterdziesty i trzeci, zima
Sucha i szorstka, jak skręt powroza —
Jeszcze was dzisiaj widzę oczyma,
W których za gniewem pali się groza.

Pośród kupczących złotem i życiem,
Wśród obojętnych i wśród nikczemnych,
Słyszałem serca waszego bicie,
Słyszałem łoskot dziejów podziemnych.

Rzutem granatu, błyskiem wystrzału
Wy porywaliście z grobów nocy
Miasto, co w głuchą skałę stężało
I nauczyło się praw przemocy.

Wy już pisaliście inne prawa
Kredą i węglem na murach, w mroku,
Farbą na bruku. I była krwawa
Rzecz czterdziestego czwartego roku.

To, co w granicie będzie wyryte,
To, co się stanie kodeksem dziejów,
W powietrzu nocy, na mgle przed świtem
Wyście pisali krwią i nadzieją.

Na Świętojańskiej, w załomach Freta,
Gdzie słupem ognia było powstanie,
Z Martwego Miasta śmierci kometa
Drwiła, próbując czy zmartwychwstanie.

Tysiąc walecznych zawiodło Warszawę.
Wyście zostali w jej gruzach niemi,
W płytach chodników wyrwanych z ziemi
I w każdej grudce tej ziemi krwawej.

A ja, któremu zostało pióro,
Niech mową, hymnu złożyć niezdolną
Uczczę bez kłamstwa literatury
Tych, co walczyli na śmierć — za wolność.

1945 r.

HIERONIM MICHALSKI

Z przyśpiewów zarannych

I

Szum brzóz... W tym szumie płaczą dawno ścięte drzewa,
Co nocą w mgle cieniami wśród brzóz niemo stały.
Sen mój, w nim tamtych pierzchłych cieni był nietrwały
był dosięgalną jawą — w szumie się rozwiewa.

Wybiegam niespokojny z przeczucia zapałem.
Ach, czy te w śnie zjawione pierzchające cienie,
przed których tajemnicą czuję, drżąc, wzruszenie,
w odlocie wśród brzóz ujrzę, jak je w śnie widziałem.

II

Jak z chaosu żywiołów w pierwszy dzień stworzenia
z otchłannej mgły zarannej świat się znowu tworzy:
szumi w mgle, gdy w nią zadmie wiatr, niby dech boży,
i w ślad za szumem drzewa wynikają z cienia.

Podglądam to wcielenie — w mgle zgubione zjawy,
co, niknąc, tajni nocy rozdały istnienie,
choć je zamgielnych przeczuć wstrząsa jeszcze drżenie,
napowrót realnieją aż po dzień chropawy.

Jak bezbłędnie znajdują jawę swoją! — Słyszę
ziemski ich szum bezmierny, gdy w wietrze nabrzmiewa,
I próżno pragnę pojąć ten głos, w którym drzewa,
dygocąc, obce, tają przemian nocnych ciszę.

JERZY KIRCHMAYER

Grunwald

(15 lipca 1410 r.)

Bitwa pod Grunwaldem jest jednym z najwspanialszych czynów nie tylko w historii Polski i Litwy, lecz także w krwawych dziejach obrony Słowiańszczyzny przed naporem Germanów. Toteż wielkie zwycięstwo wywalczone tężyzną polskiego topora i litewskiej sulicy nad groźnym przeciwnikiem przykuwało od dawna uwagę naszych uczonych, literatów, artystów, wojskowych, całego narodu i w nim — rzecz dziwna — tylko w najmniejszym stopniu naszych polityków, chociaż Grunwald był na przestrzeni od powstania Polski do wybuchu obecnej wojny największym zakrętem politycznym, na którym znaleźliśmy się w owe gorące, brzemienne dni lipcowe, a którego znaczenia nie docenialiśmy ani wówczas, ani też grubo później.

Wbrew temu, Grunwald miał zawsze i ma swoje dwa wyraźne oblicza. Jest to:

a) największy w dziejach Polski i Litwy tryumf orężny nad Niemcami,

b) tryumf najzdrowszej w naszych dziejach myśli politycznej.

Obydwa te momenty pozostały niewyzyskane i dlatego było możliwe, że w 500 lat później na tych samych polach grunwaldzkich tryumfował odwet germański nad rosyjską armią Samsonowa, a wnet po tym w wyniku naszej klęski wrześniowej mógł Niemiec w Krakowie zniszczyć pomnik grunwaldzki, usiłując w ten sposób pogrześć wielką ideę polityczną tam, gdzie się ongiś zrodziła, skąd popchnęła hufce polsko-litewskie ku zwycięstwu.

W ten sposób zamknęło się koło historii. Za nami wspomnienia i gruzy. Wśród nich świeci klejnot, który pomimo swej starości, nie stracił siły i blasku.

I. PRZEBIEG DZIAŁAŃ WOJENNYCH *)

1. Rozwój krzyżackiego niebezpieczeństwa

Zabójstwo wojewody Krystyna przez ks. Konrada Mazowieckiego stało się początkiem grozy, która aż do czasów najnowszych trzymała w szponach całą północną Polskę i wstrząsała nieraz podstawami naszego bytu. Po śmierci dzielnego wodza nie było już nikogo, kto mógłby osłonić Mazowsze i Kujawy od ustawicznych napadów wojowniczych Prusów. Polska była porażona skutkami nieszczęsnego podziału na dzielnice. Konrad zaś wolał targować się o sprawy sukcesyjne, niż pilnować swej północnej granicy. W tych warunkach nie znalazł innego wyjścia, jak szukać pomocy u obcych. Uwagę jego zwrócił zakon rycerzy niemieckich, który po zakończeniu wojen krzyżowych powrócił do Europy. Tych rycerzy zwanych popularnie Krzyżakami sprowadził do Polski w roku 1226 i nadał im ziemię chełmińską w nadziei, że osłonią jego prowincje i podbiją dla niego kraj Prusów.

Krzyżacy zaczęli występy w Polsce od sfałszowania aktu nadawczego i wyłudzenia od cesarza i papieża przywileju na prawo do wszystkich ziem, które zdobędą na poganach. Przy pomocy rycerstwa niemieckiego, które tłumnie napływało pod chorągwie krzyżackie zwabione chęcią przygód i nie wygasłą jeszcze żądzą nawracania pogan, oraz przy udziale polskich książąt rozpoczęli systematyczny krwawy podbój Prusów.

Dzieło to zostało ostatecznie zakończone w roku 1283. Wnet Krzyżacy odsłonili swe właściwe oblicze. W r. 1305 Władysław Łokietek wezwał ich pomocy do zwalczenia buntu Pomorzan. Po stłumieniu go wspólnymi siłami Krzyżacy zagarnęli Pomorze dla siebie. Łokietek, nie czując się na siłach do walki orężnej, wytoczył sprawę przed sądem papieskim i wygrał ją, lecz Krzyżacy zlekceważyli wyrok. Doszło więc do wojen, których Łokietek nie mógł rozstrzygnąć na swoją korzyść pomimo zwycięstwa odniesionego pod Płowcami.

Śmiertelne niebezpieczeństwo grożące od północnej strony stało się największą troską Kazimierza Wielkiego, następcy Łokietka. Słusznie oceniając położenie, postanowił on iść na czasowe ustępstwa i przygotować porządnie Polskę do nieuniknionej wielkiej rozprawy orężnej. W tym celu zawarł pokój z Krzyżakami, oddając im Pomorze, a wzmacniał kraj wewnętrznie i szukał trwałego, skutecznego sojuszu przeciwko Zakonowi, ponieważ rozumiał, że Polska jest zbyt słaba, ażeby zwyciężyć go własnymi siłami. Wydawało mu się, że znalazł takiego sprzymierzeńca w Węgrach. Zawarł tedy Kazimierz Wielki układ, w którym zapewnił następstwo po sobie na tronie polskim królowi węgierskiemu z tym, że rozpocznie on rządy w Polsce od walki z Zakonem i odzyska Pomorze. Istotnie po śmierci Kazimierza węgierski, jednak zawiódł nadzieje i nie wszczął wojny z Krzyżakami.

Na straży idei Kazimierza Wielkiego stali małopolscy mężowie stanu, którzy w owym czasie doszli do przemożnego znaczenia w kraju. Doświadczenie przekonało ich, że sojusz z Węgrami jest dla Polski mało wartościowy i że nie tędy wiedzie droga do zwycięstwa nad Krzyżakami. Trwali jednak niezmiennie przy zasadniczej koncepcji kazimierzowskiej zapewnienia sobie w tej walce potężnego sprzymierzeńca. Działając konsekwentnie w tym duchu: 1) nie zgodzili się na dalszą unię personalną Polski i Węgier, ponieważ groziło to spychaniem interesów Polski na dalszy plan, 2) przeciwstawili się kandydaturze Ziemowita Mazowieckiego na tron Polski, 3) przeforsowali przyjazd do Krakowa i koronację córki Ludwika młodziutkiej Jadwigi, 4) zmusili do ucieczki z Krakowa męża Jadwigi Wilhelma austriackiego i przeprowadzili unieważnienie tego małżeństwa, 5) doprowadzili wbrew woli Jadwigi do małżeństwa jej z wielkim księciem litewskim Jagiełłą i układu, mocą którego zobowiązał się do odzyskania ziem utraconych przez Polskę i połączenia Litwy i Rusi z Polską.

W ten sposób niespotykana w naszych dziejach energia i konsekwencja uczniów Kazimierza Wielkiego przygotowała grunt do zwycięstwa. W Litwie znaleźli bowiem Polacy pełnowartościowego sprzymierzeńca. Kraj ten stał się po zajęciu Prus przedmiotem napadów krzyżackich dokonywanych pod pozorem nawracania na chrześcijaństwo ciągle jeszcze pogańskich Litwinów. Krzyżacy wrzynali się coraz głębiej, mieszali się coraz czynniej w wewnętrzne sprawy Litwy, aż wreszcie zagrabili Żmudź. Łączyło więc Polaków i Litwinów wspólne niebezpieczeństwo, a sojusz ich stawał się w tych warunkach koniecznością życiową. Nic też dziwnego, że ślub Jadwigi z Jagiełłą i towarzyszące mu układy polsko-litewskie, oraz chrzest Litwy za pośrednictwem Polski zostały zrozumiane przez Krzyżaków jako akty wrogie i godzące bezpośrednio w ich byt. Odtąd obydwie strony czynią przygotowania do rozstrzygającej rozprawy.

2. Przygotowania do wojny

Wybuch konfliktu hamowała Jadwiga, bo jej wola utrzymania pokoju była szanowana w Polsce, krępowała Jagiełłę i trzymała na wodzy Krzyżaków, którzy polską królowę niezwykłą otaczali czcią. Śmierć Jadwigi w roku 1399 zerwała te hamulce i przyśpieszyła wypadki.

Już w dwa lata później na zjeździe w Wilnie doszło do zgody między Jagiełłą i niechętnym mu bratem Witoldem i do wymierzonego przeciwko Krzyżakom układu o znaczeniu obronnym.

W tym roku Krzyżacy zamknęli dla handlu polskiego Wisłę w Toruniu, na co odpowiedziano zatrzymaniem towarów toruńskich w Krakowie. Zawarty w następnym roku pokój zaostrzył jeszcze spory z powodu przyznania Krzyżakom Żmudzi. W roku 1407 umarł Wielki Mistrz Zakonu Konrad Jungingen przeciwnik wojny, a wybrany został jego brat Ulryk, który parł stanowczo do wojny z Polską. Natychmiast zaogniły się stosunki i to z powodu dość błahego sporu o Drezdenko, które od dawna stanowiło przedmiot tarć między Polską a Zakonem. Sprawę oddano do rozsądzenia Witoldowi, którego wyrok wypadł korzystnie dla Polski. Pomimo to Krzyżacy zajęli Drezdenko i w dodatku jeszcze Santok (1408 r.) Zaraz po tym Litwini spustoszyli Żmudź i zapuścili zagony aż do Prus. W następnym roku wybuchło wielkie

*) Literatura: a) Górski Konstanty: „Bitwa pod Grunwaldem", Warszawa 1888. b) Laskowski Otton mjr.: „Grunwald", Warszawa 1926. c) Dziewanowski Władysław, rtm. dypl.: „Podręcznik historii wojskowości", Warszawa 1932.

powstanie na Żmudzi, w wyniku którego bojarzy wypędzili Krzyżaków i przyłączyli kraj z powrotem do Litwy. Gdy starania u Jagiełły, ażeby zmusił Litwinów do oddania Żmudzi, nie osiągnęły żadnego wyniku, Zakon wypowiedział 5 sierpnia 1409 r. wojnę Polsce i zajął szybko ziemię Dobrzyńską, Bydgoszcz i rejon Drezdenka.

Polacy nie byli gotowi do wojny i dali się zaskoczyć, a Litwini nie mogli nadążyć z pomocą. Toteż jedni i drudzy działali w odosobnieniu. Jagiełło odzyskał Bydgoszcz, a Witold znów pustoszył ziemie krzyżackie, zapuszczając się aż pod Kłajpedę. Rozstrzygającą rozprawę postanowili jednak odłożyć do następnego roku. Mistrz zadowolony z osiągniętych powodzeń uważał, że cel wojny osiągnął. W tych warunkach został zawarty rozejm z ważnością do 24 czerwca 1410 r., przy czym spór miał być oddany do rozsądzenia królowi czeskiemu Wacławowi. Nikt jednak nie wątpił, że do pokoju nie dojdzie. Toteż przygotowania do wojny nie ustawały z obydwóch stron. Krzyżacy przeciągnęli na swoją stronę nie tylko Wacława, ale także książąt pomorskich, a co najważniejsze zdołali pieniądzmi pozyskać króla Zygmunta węgierskiego. W ziemiach podległych Krzyżakom wzmożono gotowość wojenną, w Malborgu lano działa i wyrabiano proch i kule.

Krzyżacki plan wojny musiał być z natury rzeczy obronny. Głównym przeciwnikiem byli Polacy i im należało stawić czoło głównymi siłami. Zapuszczanie się w głąb Polski było bezcelowe wobec głębokości i szerokości polskiego obszaru. Przekraczało to możliwości Zakonu, ponieważ nie był nigdy pewny ujarzmionej przez siebie ludności pruskiej i pomorskiej i dlatego nie mógł zbytnio oddalać siły zbrojnej od swych prowincyj. Wreszcie wyprawa na południe w głąb Polski mogła być skutecznie zagrożona przez działania litewskie ze wschodu. Dlatego krzyżacki plan wojny sprowadzał się a) do wyczekiwania, aż nieprzyjaciel się zbliży, b) do stoczenia z nim dopiero wówczas rozstrzygającej bitwy.

Polsko-litewski plan wojny został ustalony w końcu 1409 r. na zjeździe Jagiełły z Witoldem w Brześciu. Musiał być z natury zaczepny, ponieważ celem było odebranie Krzyżakom ziem przez nich zagrabionych i musiał dążyć do rozstrzygającej walki, ponieważ tylko pełne zwycięstwo mogło zmusić Zakon do oddania tego, co w ciągu dwóch wieków zagrabił. Wreszcie trzeba było rozgromić Zakon, jeżeli niebezpieczeństwo wiszące nad Polską i Litwą miało być naprawdę usunięte. Trudności tkwiły w wykonaniu takiego planu wojny.

Głównym ośrodkiem siły krzyżackiej było bowiem wschodnie Pomorze z Malborgiem, stolicą Zakonu, podstawą zaopatrywania i wielką twierdzą. Ażeby powalić Zakon, trzeba było więc iść na Malborg, bo w jego obronie musiały stanąć do rozstrzygającej walki główne siły krzyżackie. W tym celu należało zawczasu przeprowadzić siły polskie na prawy brzeg Wisły, bo działania wzdłuż lewego brzegu wyprowadzały na deltę Wisły przesłaniającą Malborg od zachodu. Forsowanie zaś rzek było w owych czasach z braku odpowiednich środków przeprawy operacją niezmiernie trudną i tak wielkie rzeki jak Wisła i Nogat stanowiły zaporę praktycznie nie do przebycia. Poza tym bezpośrednie współdziałanie wojska litewskiego z polskim na zachodnim brzegu dolnej Wisły było by niezmiernie trudne. Pozostawało więc działanie na wschodnim brzegu. Były tu dwa możliwe rozwiązania:

— albo wojsko polskie uderzy w kierunku północnym na Malborg, zaś litewskie od wschodu poprzez cały kraj Prusów,
— albo obydwa wojska połączą się zawczasu i uderzą wspólnie w jednym kierunku, przy czym ze zrozumiałych powodów Litwini musieli dołączyć się do wojska polskiego, a nie odwrotnie.

Pierwsze rozwiązanie było ryzykowne, bo działania musiałyby być tak zgrane ze sobą, ażeby siły polskie i litewskie połączyły się przed rozstrzygającą bitwą. W ówczesnych warunkach komunikacyjnych mogło to się zdarzyć tylko zupełnie przypadkowo. Gdyby się zaś nie udało, Krzyżacy mogli skupionymi siłami pobić kolejno obydwóch przeciwników. Jagiełło i Witold postanowili przeto połączyć swe siły zdala od nieprzyjaciela i jeszcze przed rozpoczęciem rozstrzygających działań. Jako miejsce tej koncentracji wyznaczyli Czerwińsk, pod którym wojsko polskie musiało przeprawić się z zachodniego na wschodni brzeg Wisły.

15 lutego 1410 r. zapadł wyrok Wacława czeskiego i był niekorzystny dla Polski i Litwy. Jagiełło i Witold nie przyjęli go i z jeszcze większą energią zabrali się do przygotowań wojennych. Most przez Wisłę był już w budowie, uzupełniano zapasy żywności, przygotowywano broń i amunicję i zaciągano żołnierzy w Czechach, Morawach i na Śląsku. Natomiast nie udało się odciągnąć Węgrów od porozumienia z Zakonem, tak, że trzeba było liczyć się z możliwością zagrożenia południowej granicy Polski. Równocześnie przygotowywali się Krzyżacy. Termin rozejmu upływał w dniu 24 czerwca, co zobowiązywało obydwie strony do osiągnięcia w tym czasie pełnej gotowości wojennej. Jednak w tym dniu wojsko polskie i litewskie maszerowało dopiero z kilku stron do przeprawy pod Czerwińskiem, a Mistrz krzyżacki oczekiwał jeszcze przybycia oddziałów zaciężnych. Z tych powodów obydwie strony skorzystały chętnie z pośrednictwa węgierskiego i przedłużyły rozejm o 10 dni.

3. Siły zbrojne przeciwników

Brak jest dostatecznych danych, ażeby ustalić dokładnie siły, które obydwie strony wyprowadziły na wojnę. Podawane liczby wahają się w szerokich granicach i wydaje się, że bliższym prawdy jest ten, kto przyjmuje liczby raczej niższe.

Wojsko krzyżackie mogło liczyć:

— całkowita siła zbrojna od 30 do 60 tysięcy, w tym
— główne siły użyte do bitwy pod Grunwaldem od 20 do 45 tysięcy,
— oddziały pozostawione jako osłona od 10 do 15 tysięcy.

Stosunkowo najpewniejszą liczbą jest około 14—16 tysięcy w 50 chorągwiach konnych, które stanowiły jądro wojska. Prócz konnych była piechota i artyleria.

Chorągwie konne szykowały się w bitwie w 4 szeregi i stawały jedna obok drugiej. W pierwszym szeregu walczył ciężko zbrojny rycerz od głowy do stóp zakuty w stal (waga zbroi 30—40 kg) z kopią długości 6 m., mieczem długości około 1,30 m. i zwykle z toporem bojowym. Za nim stali lżej uzbrojeni żołnierze. Przed długą a płytką linią chorągwi wysuwano oddziały piechoty zbrojne w kusze, ażeby zadać straty nieprzyjacielskim chorągwiom konnym jadącym do natarcia. Na tym kończył się udział piechoty w bitwie. Artyleria krzyżacka była liczna. Ustawiano ją przed linią bojową. Rola jej sprowadzała się do oddania na początku bitwy 1—2 strzałów na działo. Skuteczność tych strzałów była nieomal żadna. W tych warunkach rozstrzygnięcie w bitwie zależało od wyniku starcia chorągwi konnych.

Pomimo doskonałej organizacji Zakonu, wyborowego uzbrojenia i dyscypliny, skład wojska krzyżackiego był niejednolity i w tym tkwiły zarodki jego klęski. Większość chorągwi wystawiały miasta, które z powodu ucisku służyły bez serca. Poza tym służyła niemała ilość Polaków, a nawet podbitych Prusów. Toteż nierzadkie były wypadki przechodzenia na stronę wroga.

Wojsko polskie było liczebnie mniej więcej jakością równe krzyżackiemu. Na ogólną ilość 51 chorągwi były dwie nadworne królewskie, 3 książąt Mazowieckich, 4 zaciężne czesko-morawskie, kilka możnowładzkich, reszta, czyli około 40-tu, pospolitego ruszenia. W tych ostatnich służyła przeważnie szlachta i to w ten sposób, że zwykle jeden ród wypełniał szeregi jednej chorągwi. Były to tzw. chorągwie rodowe. Oprócz nich były w pospolitym ruszeniu chorągwie ziemskie, wystawiane przez pewien okręg terytorialny. Dlatego wojsko polskie przewyższało wyraźnie spoistością wewnętrzną i bitnością wojsko krzyżackie. Natomiast ustępowało mu nieco uzbrojeniem. Oprócz wojska konnego była artyleria i to prawdopodobnie oblężnicza w przewidywaniu konieczności zdobywania różnych zamków i twierdz krzyżackich, w szczególności zaś Malborga. Piechoty albo nie było wcale, albo też były tylko zupełnie nieznaczne oddziałki.

W przeciwieństwie do Krzyżaków, którzy walczyli w płytkim ugrupowaniu, Polacy szykowali swe chorągwie prawie zawsze głęboko, przy czym ciężko zbrojni stawali na czole i na bokach, środek wypełniali lżej uzbrojeni.

Wojsko litewskie było liczebnie mniej więcej o połowę mniejsze od polskiego i krzyżackiego. Liczyło 40 chorągwi, z których 30 było litewskich, 3 smoleńskie, a 7 nieznanego pochodzenia. Prócz tego był oddział Tatarów w sile około 300 ludzi. Jądrem siły w chorągwiach byli bojarowie, odpowiadający ciężko zbrojnym rycerzom w wojsku polskim i krzyżackim. Każdy bojar wystawiał pewną ilość gorzej zbrojnych żołnierzy. Są dane, że dość licznie występowali żołnierze piesi. Wojsko litewskie było znacznie gorzej uzbrojone od polskiego, lecz nadrabiało to zaciętością, wynikającą z wielkiej nienawiści do Krzyżactwa.

Ogólnie wojsko polskie i litewskie przeważało wyraźnie liczebnie (jak 3:2), natomiast ustępowało krzyżackiemu w uzbrojeniu.

4. Rozpoczęcie działań wojennych

Krzyżacy rozdzielili w położeniu wyjściowym swe główne siły na dwa ugrupowania. Jedno pod dowództwem Wielkiego Mistrza stanęło na lewym brzegu Wisły w rejonie Świecia, drugie pod dowództwem Wielkiego Marszałka na prawym brzegu nad górną Drwęcą. Było to typowe ugrupowanie wojska w obronie operacyjnej. Gdyby Polacy uderzyli na Pomorze zachodnie, a Litwini na wschodnie, można było, wykorzystując most w Świeciu, skupić przeważające siły przeciwko jednemu zgrupowaniu, pobić je, po czym z kolei zwrócić się przeciwko drugiemu. Gdyby Polacy i Litwini działali w jednym zgrupowaniu, mogli Krzyżacy skoncentrować szybko obydwa zgrupowania na kierunku marszu przeciwnika.

Wojsko polskie i litewskie połączyło się 30 czerwca pod Czerwińskiem. Polacy przeprawiali się jeszcze do 2 lipca. Dalszy kierunek marszu na Malborg został wybrany przez Drobin — Lidzbark na Kurzętnik, pod którym znajdowały się dogodne brody przez Drwęcę. Marsz rozpoczęto 3 lipca i 10-go osiągnięto jezioro Rubkowo w odległości 2 km od Kurzętnika. Dopiero tutaj dowiedziano się, że po drugiej stronie Drwęcy stoją znaczne siły krzyżackie, a brzegi rzeki są umocnione wysokimi ostrokołami i obsadzone przez piechotę i artylerię. Były to połączone już główne siły Zakonu pod dowództwem Wielkiego Mistrza, którego powiadomili na czas posłowie węgierscy o polsko-litewskiej koncentracji w Czerwińsku i marszu w kierunku na Kurzętnik.

W tym położeniu forsowanie rzeki było beznadziejnym przedsięwzięciem i dlatego Jagiełło postanowił obejść Drwęcę u jej źródeł, a dopiero potem kontynuować marsz na Malborg. 11 lipca wojsko zawróciło spod Kurzętnika i przez Lidzbark szło na Działdowo, skąd skręciło wprost na północ na Dąbrówno. Wieczorem 13 lipca zdobyto Dąbrówno i wzięto wielką zdobycz w żywności.

5. Bitwa

15 lipca wyruszyło wojsko polsko-litewskie z Dąbrówna w dalszy marsz na Olsztynek. Gdy czoło kolumny dochodziło około godziny 8-mej do jeziora Łubień, ukazały się liczne dymy obozowe w kierunku wiosek Grunwaldu i Sztymbarku (Tannenbergu) i stało się jasne, że wielka bitwa z Krzyżakami jest w tym dniu nieunikniona.

Gdy stwierdzono obecność Krzyżaków, król był już na wzgórzu nad zachodnim brzegiem jeziora Łubień. Chorągwie polskie i litewskie nadciągały stopniowo. Witold z rozkazu królewskiego szykował je do bitwy. Polacy pod wodzą Zyndrama z Maszkowic stawali na lewym skrzydle, Litwini, którym przewodził Witold, na prawym. Większość ugrupowania była ukryta w lesie. Rozpoznanie doniosło, że wielkie siły krzyżackie stoją w szyku bojowym w odległości 3—4 km. Król słuchał w namiocie nad jeziorem mszy przed bitwą, a później pasował rycerzy.

Naprzeciwko znajdowały się w rzeczywistości główne siły krzyżackie. Wielki Mistrz, dowiedziawszy się o polskim marszu na Działdowo i Dąbrówno, ruszył swoje hufce spod Kurzętnika i przez Lubawę podążył pod Grunwald, ażeby przeszkodzić Jagielle w dalszym marszu na Olsztynek.

W czasie, kiedy wojsko polsko-litewskie ściągało na plac boju, Krzyżacy byli już uszykowani między Sztymbarkiem a Ludwikowem. Punkt ciężkości był na lewym skrzydle, bliżej Sztymbarka. W tym położeniu Mistrz nie skorzystał z niegotowości przeciwnika, lecz czekał, aż nieprzyjaciel wyjdzie z lasów i na otwartym polu stawi się do walki. Dopiero kiedy upłynęły trzy godziny i nic nie wskazywało, że Jagiełło zamierza rozpocząć bitwę, Mistrz pod naciskiem swego otoczenia postanowił uderzyć. Wysłał tedy, jak nakazywał zwyczaj rycerski, dwóch heroldów z gołymi mieczami do króla Jagiełły z wyzwaniem do bitwy, sam zaś zaczął szykować swe oddziały do natarcia. Trzeba tu sobie uprzytomnić, że ówczesne wojsko, a zwłaszcza krzyżackie, walczące na sposób zachodni, było na polu bitwy niezmiernie nieruchliwe. Wyciągnięte w długie linie, ugrupowane wewnątrz tych linii w sposób sztywny, nadzwyczaj czułe na każde załamanie lub wygięcie wyrównanej linii frontu, z wysuniętą na czoło nieruchliwą artylerią i piechotą, która przed wyruszeniem do walki hufców konnego rycerstwa musiała się wycofać poprzez nie do tyłu, wymagało do każdego poruszenia w bitwie bez porównania więcej czasu, niż do tego jesteśmy dzisiaj przyzwyczajeni. Toteż według naszych pojęć proste przegrupowanie zarządzone przez Mistrza, trwało zbyt długo.

Jagiełło przyjął heroldów. Wyzwanie ich uznano za obelgę. Zapalczywy Witold i tak już niecierpliwił się i wyrzucał królowi zwłokę. Rycerstwo gorzało zapałem do walki ze znienawidzonym wrogiem. Toteż gdy dojrzano wsteczny ruch krzyżackiej piechoty, oswobadzającej pole do natarcia swoim hufcom konnym, nie wytrzymały i uderzyły najprzód chorągwie litewskie, później polskie. Działa krzyżackie dały po dwa strzały, nie czyniąc zresztą żadnej szkody, lecz nie zdążyły już ich osłonić hufce konne i dostały się w ręce polskie i litewskie. Piechota krzyżacka została zaskoczona natarciem w czasie wycofywania się i poniosła wielkie straty. Z kolei zderzyło się rycerstwo konne, którego bój miał rozstrzygnąć losy bitwy.

Litwini trafili na wyborowe chorągwie krzyżackie, na przewagę uzbrojenia i uderzenia, które ruszyło z wyższego miejsca. Około godziny stawiali dzielny opór, ponosząc wielkie straty, lecz pomimo że Witold podtrzymywał walczących świeżymi chorągwiami, nie wytrzymali naporu i ustępowali wpierw wolno, później zaś wyczerpani walką i stratami rzucili się do zupełnej ucieczki. Za uciekającymi puścili się w pogoń Krzyżacy. Na placu zostały tylko trzy chorągwie smoleńskie i broniły się zaciekle. Jedna została wycięta w pień, dwie przebiły się z wielkimi stratami do Polaków.

Lewe skrzydło królewskie zderzyło się ze słabszymi siłami Krzyżaków, pomiędzy którymi była jednak wyborowa chorągiew gości zagranicznych pod znakiem św. Jerzego, i z nią toczył się bój najbardziej zażarty. W ciężkiej walce polskie chorągwie spychały wolno Krzyżaków. Walczących zasilano w miarę potrzeby odwodowymi chorągwiami. Bój stawał się coraz bardziej zażarty:

„Mąż na męża napierał, kruszyły się z trzaskiem oręże. Godziły w twarz wymierzone wzajem groty. W tym zamieszaniu trudno było odróżnić dzielniejszych od słabszych, odważnych od niewieściuchów, wszyscy bowiem jakby w jednym zawiśli tłumie i nie cofali się wcale z miejsca, ani jeden drugiemu ustępował pola, aż gdy nieprzyjaciel zwalony z konia, albo zabity rum otwierał zwycięzcy. Gdy na koniec połamano kopie, zwarły się ze sobą tak silnie obu stron szyki i oręże, że już tylko topory i groty na drzewcach ponasadzane tłukąc o siebie, przeraźliwy wydawały łoskot, jakby bijące w kuźniach młoty. Jeźdźcy ściśnieni w natłoku mieczem tylko nacierali na siebie i sama już wtedy siła, sama dzielność osobista przeważała". *)

Stopniowo powracały z pogoni za Litwinami zmieszane kupy Krzyżactwa i przesuwały się ku głównemu polu bitwy, obok prawego skrzydła polskiego. Uderzyła w nich część odwodowych chorągwi polskich i zadała ciężkie straty. Część jednak ocalała i wzmocniła walczących z Polakami.

Bój stał się jeszcze bardziej zacięty. Największy toczył się tam, gdzie walczyła chorągiew wielka Ziemi Krakowskiej, czołowa wśród wojska, bo służył w niej kwiat rycerzy. Powiewał nad nią znak królestwa, który przyciągał uwagę Krzyżaków. W zamęcie bitwy i ścisku zapadł się nagle. Rozległy się wraże okrzyki radości i zabrzmiała już tryumfalna pieśń krzyżacka „Christ ist erstanden". Rycerze polscy podnieceni upadkiem królewskiego znaku, rzucili się do walki z jeszcze większą zaciętością, przetrwali kryzys i wzmocnieni odwodem zaczęli łamać linię nieprzyjacielską. Znużone 6-godzinnym bojem chorągwie krzyżackie ustępowały w coraz większym nieładzie.

Położenie mógł jeszcze uratować odwód krzyżacki i wesprzeć przełamany szyk. Jednak Wielki Mistrz zdecydował się na całkiem inne użycie swego odwodu, który w owej chwili liczył jednak jeszcze 16 chorągwi. Zamiast podsycać bitwę przez czołowe zasilanie walczących częściami odwodu, postanowił wyprowadzić go w całości na prawe skrzydło hufców polskich i rozbić je jednym skrzydłowym i rozstrzygającym uderzeniem. Była to niezwykła decyzja w czasach, kiedy nie znano innej walki, jak tylko czołowe natarcie. W zasadzie najzupełniej słuszna — miała tę wadę, że przy ówczesnych szykach wykonanie takiego manewru trwało bardzo długo. Nie wystarczyło bowiem znaleźć się z 16 chorągwiami na skrzydle polskim, ale trzeba było w obliczu nieprzyjaciela szykować długą linię, chorągwiami obok siebie, przy czym miejsce każdego żołnierza w szyku nie mogło być zmienione. Trwało to godzinami i nie mogło stanowić zaskoczenia.

Tego Wielki Mistrz nie obliczył i kiedy główne siły krzyżackie były bite przez polskie, odwód jego nie był jeszcze gotowy do natarcia i osiągnął tę gotowość dopiero wówczas, kiedy Polacy rozbili ostatecznie główne siły krzyżackie i pędzili je już ku obozom.

Spóźnione wyruszenie odwodowych 16 chorągwi krzyżackich pozwoliło Polakom przygotować się i w porę zwrócić dostateczne siły przeciwko nowemu niebezpieczeństwu. W dodatku powracały już na pole bitwy chorągwie litewskie i rzucały się w ostatni bój, który jeszcze się na nim toczył. W tym trudnym położeniu chorągwie chełmińskie i jeszcze kilka innych opuściły Mistrza i uciekły z pola bitwy, reszta została otoczona i pomimo zaciekłej obrony, w pień wycięta. Ostatnim aktem było zdobycie obozu i wycięcie resztek Krzyżaków, które próbowały się w nim bronić.

6. Wyniki bitwy

Bitwa została przegrana przez Krzyżaków, ponieważ w rozstrzygającej chwili odwód ich nie mógł wkroczyć do boju. Dozwoliło to Jagielle rozstrzygnąć walkę wpierw z głównymi siłami nieprzyjaciela, później z odwodem. Bitwa została wygrana przez Polaków i Litwinów wskutek nieustępliwości i zaciętości w boju, oraz zimnej krwi dowództwa, które nie dało się wytrącić z równowagi początkowym niepowodzeniem Litwinów.

Na placu boju poległa cała starszyzna krzyżacka z Wielkim Mistrzem i Wielkim Marszałkiem Zakonu na czele. Padło 203 rycerzy zakonnych. Zdobyto wszystkie chorągwie. Liczby poległych i jeńców nie można ustalić wobec sprzeczności danych. Jednak wiadomo, że uszły tylko niedobitki.

W wyniku bitwy zniszczone zostały żywe siły Zakonu, zdarty nimb niezwyciężoności, który otaczał ich nad Bałtykiem i w Europie, starta pycha krzyżacka, która pchała ich w ciągu dwóch wieków do coraz to większych zbrodni i zdjęty strach, którym władali nad podwładnymi. Polska i Litwa zostały uwolnione od zmory ustawicznych najazdów i rabunków.

Nie starto jednak łba hydrze. Wojsko polskie i litewskie tkwiło na polu bitwy przez trzy dni. Pod Malborgiem stanęło dopiero 25 lipca, lecz przeszło już wtedy oszołomie-

*) Według Długosza; przytoczone z „Grunwaldu" mjr. Laskowskiego. str. 131.

nie i twierdza była gotowa do obrony. Bezskuteczne oblężenie trwało do 19 września.

Wojnę zakończył w roku 1411 pokój toruński, którym Zakon stracił tylko ziemię Dobrzyńską i Żmudź, oraz zapłacił odszkodowanie wojenne. W ten sposób dolna Wisła i wybrzeże Bałtyku pozostało nadal w jego rękach i nie zebrano owoców wielkiego zwycięstwa.

II. POLITYCZNA IDEA GRUNWALDU

Bitwa pod Grunwaldem zbiegła się z najważniejszym wypadkiem w naszych dziejach — połączeniem Litwy z Polską. Podrzędne bowiem znaczenie ma fakt, że ścisła unia dokonała się dopiero znacznie później.

Do bitwy grunwaldzkiej Polska utrzymuje postawę frontem na zachód i odchyla się od niej tylko nieznacznie. Od tej bitwy wyraźnie ją porzuca i przyjmuje postawę przeciwną, w której trwa aż do upadku swej niepodległości. Do Grunwaldu Polska pnie się pomimo rozlicznych trudności ku górze i wieńczy ten okres swoich dziejów wielkim tryumfem. Po Grunwaldzie pomimo niejednokrotnych powodzeń stacza się w dół i zamyka okres pogromem rozbiorów. Te dwa kamienie milowe — Grunwald i rozbiory — w różny sposób przykuwały uwagę polskiego przechodnia. Rozbiór był wstrząsającą katastrofą i był blisko nas, więc stale trzymał nas na uwięzi, Grunwald był cudzą katastrofą i był daleki, powracaliśmy więc do niego tylko niekiedy i dla pokrzepienia serc. Jednak w rzeczywistości Grunwald, jako punkt przełomowy w naszych dziejach, przenosi znaczeniem rozbiory, będące tylko mechanicznym następstwem zaprzepaszczenia politycznej idei, która ongiś popchnęła Polskę na drogę wielkiego zwycięstwa.

Zresztą trzeba wątpić, czy istotne są przyczyny, którym przypisuje się powszechnie upadek Polski. Wymienia się brak granic naturalnych, ale istotne jest to, że nie przywiązywaliśmy do nich dostatecznej wagi i pogodziliśmy się z granicami przypadkowymi, chociaż mogliśmy je poprawić. Wymienia się przemożną siłę sąsiadów, ale istotne jest to, że kiedy siła była po naszej stronie, nie używaliśmy jej należycie. Wymienia się anarchię wewnętrzną ze wszystkimi objawami pochodnymi, jak ucisk włościan i mieszczan, ciemnota i brak silnej władzy rządzącej, ale istotne jest to, że naród polski dawał przez długi czas dowody tężyzny wewnętrznej wcale nie mniejszej niż inne narody europejskie, lecz wydatkował ją w błędnym kierunku. Była więc jakaś wielka choroba, która trawiła nas tajemnie i pozbawiała twórczych sił.

Było nią nieuświadomienie sobie naszego dziejowego zadania, którego realizacja powinna być celem konsekwentnych i zgodnych wysiłków całego narodu. Jak bowiem od pojedyńczego człowieka można oczekiwać wielkich wysiłków tylko wówczas, gdy przyświeca mu jakiś uchwytny cel jego trudów, tak naród może z siebie wydać wielki i na długą metę obliczony wysiłek tylko wówczas, gdy ujrzy przed sobą jakiś cel odpowiednio wielki i realny. W przeciwnym wypadku wysiłki pojedyńczego człowieka są mizerne, bo równoznaczne z beznadziejną pracą niewolnika, zaś wysiłki narodu rozpraszają się i powstają wymarzone warunki do rozkwitu anarchii, której widomym wcieleniem była właśnie nasza złota wolność szlachecka.

W zaraniu naszych dziejów takim wielkim celem była obrona przed naporem germańskim. Jednak została zniekształcona:

— niedostatecznym zrozumieniem, że jest to główne zadanie Polski, wskutek czego doszło do rozpraszania naszych wysiłków (wyprawy Bolesławów na Kijów),

— niechęcią do łączenia się z innymi szczepami słowiańskimi w walce przeciwko wspólnemu wrogowi, wskutek czego ułatwiliśmy niemieckie podboje, a utraciliśmy słowiańskie przedpole na naszym zachodzie,

— dopuszczeniem do kompromisów z Niemcami, wskutek czego doszło do zniemczenia naszych miast, naszego wybrzeża i Piastów śląskich.

Te błędy rozpoznał i usiłował naprawić Kazimierz Wielki, jednak sam popełnił omyłkę, wybierając Polsce tylko pozornie wartościowego sojusznika. Widzieliśmy z jaką energią i konsekwencją małopolscy doradcy Jadwigi prostowali omyłkę swego nauczyciela i doprowadzili do skutecznego sojuszu z Litwą. W ten sposób piastowska Polska doszła po wyboistej drodze do ostatecznego sformułowania swojego celu:

— przeciwstawić się wszystkimi siłami naporowi niemieckiemu,

— łączyć się z sąsiadem wschodnim przeciwko śmiertelnemu wrogowi, z którym walka w pojedynkę przekracza jawnie polskie siły.

Zdawało się, że jagiellońska Polska powinna kontynuować piastowską myśl polityczną z tą tylko różnicą, że po zniszczeniu potęgi krzyżackiej pod Grunwaldem za mało będzie przeciwstawiać się niemieckiemu naporowi, lecz wypadnie wydrzeć Niemcom to, co nam kiedyś zabrali. Tymczasem zupełnie niespodziewanie po zwycięstwie grunwaldzkim załamała się całkowicie idea polityczna Piastów. Połączenie Litwy z Polską skierowało bowiem uwagę Polaków na wschód, gdzie stanęły otworem ogromne obszary, którymi władali książęta litewscy. Podążyła tam największa w naszych dziejach emigracja, co wyczerpywało nas przez wieki. Wyrosły przed nami na wschodzie nowe zagadnienia wówczas, kiedy stare niemieckie wrzody nie były jeszcze rozcięte, bowiem ciągle trwał duch krzyżacki nad naszym wybrzeżem i ujściem Wisły, a „Drang nach Osten" ciągle czaił się nad Odrą. W zapomnienie poszła myśl szukania sojuszu ze wschodnim sąsiadem, ażeby wzmacniać się do walki z odwiecznym wrogiem na zachodzie. Wreszcie doczekaliśmy się chwili, w której Niemiec otrząsnął się ze swojej słabości, a zastał nas wtedy na dnie anarchii. Sami sobie wytworzyliśmy warunki, w których trzeba było bronić się na zachodzie i wschodzie. Wynikiem były rozbiory. Po nich uprawialiśmy w dalszym ciągu politykę zwróconą ostrzem na zachód i wschód. Wynikiem była katastrofa wrześniowa.

Toteż gdy przed Polską stoi dzisiaj pytanie, czy wrócić do popełnionych błędów, czy pozwolić sobie na zbytek pogoni za jeszcze jakąś inną, dotąd niewypróbowaną ideą polityczną, czy też nawrócić do tej, która poraziła ongiś Wielkiego Mistrza, Wielkiego Marszałka, 203 rycerzy zakonnych i nieznaną lecz wielką liczbę zakutych w stal Krzyżaków — my, żołnierze, nie możemy mieć wątpliwości:

NAWRACAMY DO GRUNWALDU!

Jerzy Kirchmayer

(Z miesięcznika „Bellona", nr 1, 1945).

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA *)

ROZDZIAŁ VII.

Baraz wrócił do domu, niezadowolony ze swego poranka. Po wypiciu tych kilku kieliszków z Wysokolskim, Chrudoszem i Nawlickim był sobie nieprzyjemny, był sobie obcy. Ponadto zetknięcie się z ojcem Oxeńskiej zawsze zostawiało w nim osad niespokojnych, skłóconych uczuć. Doznawał lęku na myśl, że brakło tak niewiele, by tu z nim była w jego pokoju i w jego „objęciach". Przez chwilę wahał się, ale jednak wyłączył telefon, chcąc się odciąć od tej możliwości, mieć z nią spokój.

Ale Wysokolski nie dawał mu spokoju. Do jakich rzeczy pozwalał się używać, na co szedł? Te konszachty z Chrudoszem, którego Nawlicki zdawał się otaczać najtkliwszą opieką, mając w tym sobie tylko wiadome cele. I tkwiący gdzieś zawsze w tym zespole młodzieńczy, urzekający, wszystko sobie na pożytek obracający Rozrażewski.

Jakże to się zaczęła niewinnie ta droga odstępstwa, to dążenie z wciąż wzrastającą szybkością w głąb własnej nie zauważonej zguby?

Już od dawna wobec swych najbardziej zażartych przeciwników — nie mogąc inaczej — „szli na zgodę". Zwabiali ich na swoje tereny, ujmowali daleko idącymi obietnicami, których niekiedy musieli przecież dotrzymywać. Włączali w swój obręb nie tylko osobistości, ale właśnie stronnictwa. W początkach musiały to być upajające zwycięstwa. Rozszerzały zakres władzy, zwiększały zastęp wyznawców, wzmagały poczucie mocy, dawały możność dalszego bezkarnego trwania w zapewnionym bezpieczeństwie.

Ale nie były to wcale zwycięstwa, tylko jedna za drugą rezygnacja z rzeczy najważniejszych.

Ich organizm zbiorowy zmieniał się od tych obcych ciał wewnątrz siebie, z rozszerzaniem zasięgu i granic ulegała przeistoczeniu cała jego natura. Nie umieli zasymilować włączonych składników, dawali się nimi przeniknąć i przetworzyć.

Różne ugrupowania po pikantnych pertraktacjach niejako delegowały do nich swoje pozorne odłamy, których nie wypuszczały z rąk, trzymając je w dyscyplinie nakazów i dyrektyw, by się nie zatraciły w obcym medium. Ta osmoza miała wysieki obustronne, przekształcała ludzi dawnych i nowych.

Tak jedni z pierwszych weszli luźni konserwatyści — i bractwo nabrało wykwintu. Jedni z ostatnich weszli młodzi Stwana — i zespół nabrał rumieńców, jak od zastrzyku.

Upodobnienie dokonywało się na drodze osobistych zbliżeń i sympatii, nagłych pobratymstw i przyjaźni. Łączyły wówczas ludzi bruderszafty najbardziej sensacyjne, na pozór całkiem przeciwne naturze.

Baraz spotykał kiedyś w domu Oxeńskich skromnego lewicowca o zamiłowaniach oświatowych, typowego inteligenta w binoklach, zajętego książkami i szkołami. Człowiek ten, zostawszy premierem, nagle przedzierzgnął się w zapalonego myśliwca. Znał się na broni, miał najprzedniejsze do łowów przybory i na każdą okazję odpowiedni strój, był nieodłącznym uczestnikiem wszystkich reprezentacyjnych polowań. Mierząc w otoczeniu gości prezydenta, miejscowych hrabiów i obcych dyplomatów do łosia „na komorę", doznawał wzruszeń, o których przez wiele lat opracowując programy szkolne, nie miał najmniejszego wyobrażenia.

W nawale prac i zagadnień, złączonych z tak odpowiedzialnymi obowiązkami, oddawał się tej namiętności, którą w sobie uznał za atawistyczną, a której nikt w nim dotąd nie ważył się podejrzewać. Oxeński rozważał z podziwem zjawisko, od dawna z innej strony znając tego człowieka. „Jabym sądził — orzekł, — że kiedy się zostaje premierem, to byłby raczej czas, żeby przestać polować, niż żeby zacząć".

Nastała wówczas epoka, gdy dawni bojowcy z Frakcji odkryli w swych rodowodach szlacheckich antenatów i wykazywali się najlepszymi koligacjami. Noszenie sygnetów stało się powszechną modą. Typ „swojego człowieka", zarówno jak „zacnego bracha" skomplikował się i wyrafinował. Dobry krawiec, dobra kuchnia stały się już codzienną koniecznością życiową. W zakres kompetencji weszły zwolna marki win, ich temperatura, ich wiek. Ozdabiano już sobie wnętrza domowe przedmiotami godnymi muzeów, zaczęto je też kolekcjonować.

Gdy jednak naiwny ludowiec, Połomak Saturnin, a z czasów konspiracji — Szarak i Wierny, dwojga pseudonimów, przybyły z terenu, alarmował „czynniki" ze zgrozą o rozkrawanych tam na czworo zapałkach, o ciemnościach nocy zimowej, w jakim o wczesnym popołudniu tonie wieś polska, pozbawiona nafty, tak iż mieszkańcy zapadają tam w paru zaledwie godzinami na dobę przerywany sen zimowy, minister Uświacki ostudził jego zapały. Twierdził mianowicie, że tego rodzaju sentymenty musimy się nauczyć podporządkować interesom państwa. Oxeński nie uważał za ważne, że tenże minister zdumiewa innych swym księgozbiorem, w którym gromadził pierwsze edycje książek wyłącznie z nierozciętymi kartkami. Tłumaczył to bowiem właściwym naturze Uświackiego zamiłowaniem do paradoksu.

Oxeński opowiadał też, jak na przyjęciu popołudniowym na Zamku u Prezydenta starsza, wysoka i chuda, uspołeczniona pułkownikowa Patacka robiła piłę Uświackiemu z powodu utrącenia Ustawy Bibliotecznej, wobec czego istotnie światło po wsiach w wieczory zimowe stawało się niepotrzebne. Uświacki, piękniejszy wówczas i bardziej nieodparty, niż dziś, nie oszczędzał petentki. Był to czas bowiem, gdy walka o te biblioteki szła na ostre i nawet Akademia Literatury wystawiała na szwank cały swój czcigodny i wyśmiewany autorytet w jej obronie.

— Cóż to za demagogia, — mówił minister z indygnacją, nie wiadomo, Akademię czy pułkownikową mając na myśli. — Cóż to za demagogia! Przecież trzeba wiedzieć, na co nas stać. Niech pani wskaże źródło, skąd na to wziąć. Wtedy możemy rozmawiać.

Pod te słowa ministra przechodziła w pobliżu środkiem olbrzymiej sali zamkowej nieszczęsna jego żona, której życie miało się później tak tragicznie zakończyć. Kobieta wspaniała, piękna teatralna pani, w sukni, migocącej od stóp po piersi strasami, jak płynne światło, otulona kapą z futra tak niezwykłego, że nikt w Rzeczypospolitej dotąd nic podobnego nie oglądał. Na gardle tej przed niewielu laty ubogiej i podrzędnej aktoreczki przelewała się blaskami wszystkich barw widma olbrzymia brylantowa rywiera. Zjawisko było tak olśniewające, że gdy szła, ludzie rozstępowali się na boki wzdłuż jej drogi. Kobiety spierały się ze sobą, co to jest za futro, a pułkownikowa zdawała się kąlkulować w myśli, na ile półek bibliotecznych z książkami można by je wymienić.

Opowiadając tę scenę Oxeński powtórzył złośliwe przypuszczenie swej żony, że były to po prostu tak przemyślnie farbowane króliki.

Uświacki był świadomym odstępcą — nie naiwny, prosty, jak Chrudosz, który niekiedy tylko nieśmiało się buntując, szedł skwapliwie i w dobrej wierze na wszelkie ustępstwa, byle ich tylko odeń zechciano żądać.

Uświacki wiedział, że na drodze ustępstw nie osiągnie się żadnych przemian, był rewolucjonistą przez sceptycyzm. Nic nie było według niego doskonałe ani pożądane. Było tylko co najwyżej konieczne. Jego działalność była przychylaniem się do konieczności, była życzliwością dla rzeczy, której nie da się uniknąć. Wyraźnie nie chciał tego, co dobre, tylko tego, co konieczne. I to jednak okazało się za wiele, i tego było zbyt na dzisiejsze czasy.

Baraz myślał teraz o Nawlickim, który stał się jakby organem świadomości tych przemian. Pamiętny na skromną swą rolę pokątnego dziennikarza, nie brał udziału w tym wszystkim, co zachodziło, nie zdawał się też temu wyraźnie przeciwdziałać. Jego rolą było wiedzieć i nic więcej. Baraz podziwiał jego powściągliwy, badający sposób mówienia. Trudno było być pewnym, czy mówi naprawdę. Nieduży, ruchliwy, z gołymi szkiełkami na oczach, stał jakby zawsze na stanowisku tego, którego chciał przekonać. Jak gdyby z nim razem zamierzał dopracować się do jakiejś wiedzy, jak gdyby pragnął mu tylko dopomóc, nic więcej. Służył mu niejako samym sobą najlepszym, oddawał mu się do rozporządzenia. Trudził się z nim tak czas niejaki i zazwyczaj po chwili razem z nim znikał. Jakby unosił ze sobą łup, jakby unosił jego duszę na widłach.

Pod koniec swej krótkiej i świetnej kariery, gdy to już Stwan chadzał na rozmowy do najwyższych osobistości wojskowych, byli uczestnicy walk o niepodległość, dawni więźniowie ideowi, wsłuchawszy się lepiej w szepty, płynące z głębszych złoży ich podświadomości, poczuli w sobie instynkt rasy, uświadomili spontaniczną, sarmacką, głęboko tkwiącą w biologii niechęć do Żydów. Ślemień, Wysokolski, Uświacki, Ciencki, kto wie czy w pewnym stopniu także nie Oxeński. Tylko oczywiście nie Chrudosz.

I tak — gdy w mniemaniu swoim „oswajali" zagrażających im wrogów, jedwabną ręką wyjmując im żądła z ziejących paszcz, — naprawdę włączali w swój krwiobieg ich obce jady i zmieniali się pod ich działaniem w ofiary własnej swej przebiegłej polityki.

Musiał pomyśleć o Rozrażewskim, prowadzącym po schodach starą Chrudoszową. Wiedział od Nawlickiego, że Rozrażewski jest prawą ręką Stwana, że jest jego poufałym, że ma sobie powierzone najcieńsze misje. Ale jak zrozumieć, że przebywa oto w tym właśnie towarzystwie? Czyżby mu nie było nic wiadomo, że Olga Chrudoszowa, w której znalazł się orszaku, jest zwykłą rosyjską Żydówką?

Prawda, że „nie jest podobna", jak się mówi. Gdyby nawet ktoś powziął wątpliwości, to wystarcza za usprawiedliwienie pewnych śladów egzotyzmu ta Odessa, pochodzenie gruzińskie czy armeńskie. Zaledwie zbyt wyraźne cienie wokół oczów, coś w grubości warg — nic więcej. Może jeszcze tylko zbyt wielkopański gest, pewność siebie za duża na to, by była uzasadniona.

Rozrażewski widocznie nie ma podejrzeń. Nawlicki był z nimi po raucie w restauracji. W tym właśnie towarzystwie wobec zakochanego męża, w gronie wielbicieli — Rozrażewski w przerwach między tańcami mówił rzeczy najbardziej drastyczne. Będąc zarazem nieustannie **aux petits soins** wobec pani. Nawlicki, który szczególnie interesuje się Rozrażewskim, który niejako od dawna „ma go na oku", mówiąc o tym wieczorze Barazowi wyraził przypuszczenie, że jest to w stosunku do Chrudosza ze strony Rozrażewskiego kurtuazja. Daje mu mianowicie w ten sposób do zrozumienia, że rzecz tak monstrualna, jak pochodzenie Chrudoszowej, nawet nie przychodzi mu do głowy.

Gdy Edmund na raucie spytał Baraza, kto prowadzi damę w białej sukni, Baraz już słyszał o tym, co w pewnym kółku od razu uznane zostało za jawny romans. Dlatego w damie domyślił się żony Chrudosza, choć jej przedtem nie widział. W domu Oxeńskich nawet wytępione były przez Katarzynę wszystkie jej fotografie.

Myśl o tym miejscu i czasie, obraz w pamięci długiego, białego wąwozu schodów z Rozrażewskim i Olgą Chrudoszową, schodów, po których w parę minut później wiódł sam on tę Katarzynę, tę warczącą Pumę Oxeńskiego, budziły w nim wzruszenie, którego nie chciał czuć, przez które samemu sobie stawał się niemiły.

Możliwe, że jest zła. Możliwe też, że jest tęskniąca i pełna słodyczy. Nic nie wiadomo. O tym można by myśleć: „ciemność jej duszy". A uczucia, które budziła znów ta myśl, były „słodką niemocą". Śmieszne słowa. Ze słów dopiero widać naprawdę, jak to jest złe.

Tajemnice Katarzyny były niepoważne. Miała zwyczaj nic prawie nie jeść, gdy na nią patrzono, jakby jedzenie było czymś wstydliwym. Wielu potraw nie lubiła z różnych powodów. Brzydziła się kawałkiem chleba, po którym przeszła mucha. Można ją było jednak zastać niekiedy samą, gryzącą różne przysmaki, — czekoladki, kasztany, jakiś zjełczały, tortowy trójkącik, kandyzowane owoce, tłustą gruzłowatą chałwę, krem z przedwczorajszego deseru. Chowała te swoje smakołyki nie w kredensie, tylko w szufladzie małej komódki z różanego drzewa, gdzie trzymała także różne koronki i wstążeczki. Tak zaskoczona, robiła wrażenie zwierzątka, które pożera wydobytą z piasku kość, zagrzebaną tam wprzódy pod sekretem przed oczyma ludzi. „Jednakże jestem szczęśliwy", — pomyślał Baraz. Skąd mógł wiedzieć stary Dzianwa, który go wtedy tak od razu przejrzał. Czy napisane jest na człowieku szczęście?

Nieraz to czuł, że życie go przerasta, jest zbyt wspaniałe, jest ponad jego wytrzymanie. Musiał się bronić od jego nadmiaru, nie miał na nie tchu. Gdyby nie był wtedy odprowadził Oxeńskich do szatni, nie było by to naszło na nią, nie było by nic. I jeszcze raz budziło się w nim uczucie, które nie wszystkim jest znane: nieśmiałość wobec szczęścia.

(Ciąg dalszy nastąpi.

*) Ciąg dalszy. Por. nr nr 13—31 „Odrodzenia".

JANINA LIPSKA

Po obozie

Po stronie południowej obóz stykał się z żeńskim oddziałem; poprzez kolczastą sieć drutów widać było wyraźnie drugą stronę, ogród warzywny i kobiety, które w nim pracowały. Słońce lśniło, sypiąc promieniami na ich ogolone czaszki.

Mężczyźni patrzyli łapczywie; trzeba było znajdować się w ich stanie, żeby dostrzec coś kobiecego w tworach, które były już tylko bezpłciową ludzką ruderą. Bo jeżeli jakaś różnica była, to chyba ta, że w widmach kobiecych tkwiło więcej rozkładu.

Ale numer 51438, który niegdyś nazywał się Frankiem Zawadzkim, miał oko obozowe; i dlatego, gdy zobaczył po tamtej stronie numer 32853, myślał o niej nawet podczas wieczornego apelu, kiedy to chwila roztargnienia może kosztować życie.

Właściwie dla zwykłego człowieka nie różniła się wiele od innych; ale tym swoim obozowym okiem Franek widział to, czego zwykły człowiek nie mógł nawet zrozumieć. Jej skóra była mniej zwiotczała niż u innych, i miała odcień zdrowszy. Oczy nie były zagasłe; w słońcu mrużyły się z pewną błogością, a potem, na tle zieleni otwierały się z błyskiem, jak krzyk młodości o życie. Usta zachowały pewną świeżość i pewien niepokój, widocznie jeszcze nie wpadła w całkowitą depresję. A nogi miała zupełnie śliczne; jakoś niezbyt wychudłe, muskularne, opalone i na pewno jędrne.

Przez cały dzień Franek chodził oszołomiony. Potem na pewno by ją wśród obozowego piekła zapomniał; ale się widywali. On pracował na „holzhofie", w pobliżu drutów; ona często kopała lub pieliła w ogrodzie.

Było lato. Z jego strony pachniało nagrzanym drzewem i żywicą: z jej strony świeżą trawą i warzywem. Gdy się nachylała, z kościstych linii bioder pod nieforemnym pasiakiem można było wyobrazić sobie, jaką była kiedyś.

Już stale patrzyli na siebie, wzajemnie, i wiedzieli, co między nimi było. Nauczyli się porozumiewać ze sobą spojrzeniem, drgnieniem twarzy, prawie że niedostrzegalnymi ruchami, jak ptaki i zwierzęta. Nauczyli się widzieć siebie, patrząc gdzie indziej. Ale, gdy im się zdawało, że nic im nie grozi, patrzyli na siebie wprost, głodnym, gorączkowym wzrokiem.

Aż raz, gdy Franek tak się właśnie zapatrzył, drgnął nagle w niespodziewanym spazmie, który go chwycił i skręcił. Aż przysiadł na ziemi; zdawało się jemu, że wiruje wśród tępego szumu, po ciemku. Ból wykręcał mózg z głowy; a poprzez ból czuł jak coś lepkiego i strasznego spływa mu po twarzy. Cios był dobrze wymierzony. Ołowiana kulka pejcza trafiła w samo oko.

Dozorca zaciął go jeszcze po plecach; trzeba było pracować nadal. Chwycił piłę, choć nic nie widział; lało mu się z oka i z ust, bo ból spowodował wymioty. Drżał cały w niemym szlochu. Jezu, Jezu! Jak dziecko, jak kobieta. Bez jednej myśli, cały zamieniony w jedno drgnienie bólu i strachu. Jezu, Jezu, Jezu!

Potem, o wiele później, gdy na prawe oko dostał czarną opaskę, a lewym nietkniętym mógł patrzeć na „świat", jak dawniej, bez krwawych plam i bez błyskawic bólu, słowem, gdy mu się zagoiło, wyłoniło się w nim spojrzenie, którym spojrzała na niego wtedy, zobaczywszy jak dozorca podnosił pejcz. I okazało się, że on przejął w siebie to jej spojrzenie, ten jej strach, zgrozę, miłość, czułość i rozpacz o niego; i przechował w sobie nie wiedząc o tym, przez okres bólu i oszołomienia; i odnalazł je w całości, gdy okres bólu i oszołomienia minął. Odtąd nosił je w sobie stale i często dawał się przez nie opanowywać, jak przez modlitwę, przez narkotyk, czy też przez obłęd.

Teraz znowu zaczęli się widywać, uparcie i trochę ostrożniej, ale nie zawsze ostrożnie. Ich uczucie, doprowadzone przez życie obozowe właśnie do obłędu, do pewnego rodzaju psychozy, było silniejsze niż strach, czasem silniejsze nawet niż instynkt samozachowawczy.

Toteż, gdy Krystyna przestała przychodzić, Franek odczuł głęboki, choć stłumiony, graniczący z fizycznym ból. Prawdopodobnie Krystyna już nie żyła; rzecz w obozie codzienna i przewidziana; Franek nie dziwił się, ani nawet nie wyczekiwał. Ale zapomnieć nie mógł.

Aż raz, niespodziewanie, zobaczył jej widmo po drugiej stronie drutów. Głębokie musiało być jego uczucie, jeżeli ją poznał — i to zaraz!

Po drugiej stronie drutów jakaś stara postać wlokąca się rozkraczonym chodem nadeptanej żaby nachylała nad jarzynami żółtą, pomarszczoną twarz, zagasłe oczy i zwiędłe usta, patrząc ukradkiem w jego stronę.

Franek miał już bardzo obozową duszę, która reagowała w sposób całkiem niespodziewany. Porwała go złość na Krystynę za to, że tak wyglądała, że się stała ofiarą. Dopiero potem wyłoniła się gwałtowna, przeogromna litość.

Krystyna wyprostowała wśród jarzyn swoje zwiotczałe ciało. Ogolona głowa była już tylko łysą czaszką; a w oczach nie było nic. Ale, gdy się spotkała prosto ze spojrzeniem Franka, zadrgała w niej gorąca, dziecinna prośba o litość; i wtedy Franek znowu zobaczył w niej kobietę.

I znowu zaczęli się widywać; przyzwyczaił się do jej zwiędnięcia; jej miłość i jej bezsilność działały na niego podniecająco. Zresztą w jej oczach niekiedy coś się zapalało. Usta były przeważnie zsiniałe albo spieczone, ale czasami płonęły niezdrowo, rzucając jednak blask na całą twarz.

A przede wszystkim, w stosunku do niego miała zawsze tę dziecinną prośbę o okazanie litości; a pod jego spojrzeniem (jakie ono właściwie było?) pojawiał się blady, wstrząsający uśmiech dziecka, które dłoń przyjazna gładzi po głowie.

Pierwszy nalot na obóz spowodował silne wrażenie. Pogłoski, które od pewnego czasu krążyły, ciągle powtarzane, a przekreślane przez rzeczywistość, stały się nagle, na tle dalekiego brzęczenia samolotów — realne. Obozowe nocne milczenie zmieniło swoją treść; zadrgało czymś nowym. Ludzie wsłuchani w tę nową ciszę i w daleki, głuchy warkot motorów — poczuli nagle, jak silnie chcą żyć. Oczekiwali eksplozji.

Nareszcie coś huknęło — daleko. Obóz drgnął, przemówił szeptem w ciemnościach — i znieruchomiał w dalszym oczekiwaniu. Nikt nie odczuwał obawy śmierci, raz dlatego, że tego rodzaju śmierć nie nazywała się w obozie śmiercią, a następnie, bo w każdym prawie tkwiło naiwne, instynktowne przekonanie, że „taka" bomba nie zrobi im krzywdy.

Znowu odezwała się detonacja, bardzo daleko. Potem samoloty oddaliły się, ucichły. Przez obóz przeszło zrezygnowane wetchnienie.

Następne naloty już nie czyniły takiego wrażenia, choć ludzie oczekiwali ich i śledzili z zapartym tchem. Teraz chodziło już nie tyle o cud, w który nie wierzyli, ile o odczucie nadziei i chęci życia.

Bomby spadły na obóz pewnej nocy, jak niespodzianka. Straszny huk, tym razem bardzo blisko, i wstrząs poderwały ludzi na nogi. W obozie zaczęły się dziać z gorączkową szybkością rozmaite rzeczy. Ktoś wspomniał o cofaniu się Niemców, o froncie, który się zbliżał. Nie wiadomo jak i kiedy rozeszła się pogłoska, że w pewnym miejscu druty są zerwane. Wiadomo było, że Niemcy pochowali się do swoich schronów; także i w tym pozostawieniu obozu samemu sobie ludzie poczuli nieznane tchnienie wolności.

Wtedy obozem wstrząsnęła druga detonacja, tak bliska, że grudy ziemi rąbnęły o ścianę baraku Franka, a ktoś krzyknął. Zaraz potem od miejsca eksplozji odezwały się liczne krzyki i jęki.

Teraz ludzie nie ruszyli się i nie przemówili, naprężeni w bezruchu jak zwierzęta przed skokiem. W całym przyczajonym obozie panował huk i ruch niezależny od więźniów, ani od Niemców, ogłuszający i izolujący. Ludzie czuli, jak pod ognistą warstwą tego wszystkiego, szykowały się, przynajmniej dla niektórych z nich, wielkie losy.

Chwila była tak nadzwyczajna, że Franek ani drgnął, gdy nagle poczuł przy sobie Krystynę.

Stała zdyszana, drżąca, bardzo przerażona, bo w drobiazgowości swej kobiecej natury chwilowy strach przeważał nawet nad tym wielkim, wymarzonym, do czego przez strach można było dojść. Ale ten sam instynkt samozachowawczy czynił ją chytrą i przedsiębiorczą.

— Chodź prędko — druty zerwane.

On przeciwnie, stał się bardzo opanowany i rozważny.

— Gdzie?

— No wszędzie!

Ale zaraz się poprawiła.

— Gdzieś tutaj, po twojej stronie. Chodź prędko!

Zapytał, nie przez ciekawość, ale żeby się zorientować:

— A jak ty dostałaś się tutaj?

— Bo nasze druty także zerwane. Przecież to spadło tuż obok. Chodź!

Odważniejsi już się wymykali z baraku. Franek i Krystyna, nagle zwinni i młodzi, wyskoczyli oknem, wzięli się za ręce, puścili biegiem razem z innymi; samoloty krążyły z podniecającym warkotem.

Odnaleźli niedaleko baraku przerwane druty; przeszli ostrożnie na drugą stronę i wpadli w wolną ciemnię nocy.

A więc obóz, esesowcy, ucieczka, okres ukrywania się i okres działań wojennych na linii frontu — należały już do przeszłości. Co prawda Franek nie może się jeszcze odnaleźć w teraźniejszości, ale chwyta życie w każdym objawie i chodzi oszołomiony szczęściem odkrywania, codziennego przypominania sobie.

Zdawało mu się, że cokolwiekby się stało, to już po tym, co przeszedł w obozie, nic nie będzie dla niego straszne, ani nic go nie wzruszy. Wszystko w życiu było proste i dobre tym samym tylko, że nie było obozem.

I z prostotą, bez żadnych tam przeżyć, uświadomił sobie prawie zaraz, że Krystyny nie kocha. Obozowe podniecenie prysło, gdy tylko wrócił do świata i znalazł się wśród zdrowych kobiet. Dla Krystyny, owszem, czuł wielką litość i sympatię, gotową jednak zamienić się w coś całkiem przeciwnego, jeżeliby mu stanęła na przeszkodzie w jego pędzie do życia.

Kryśtyna nie stanęła mu na przeszkodzie. I ona żyła jeszcze tylko pod wrażeniem wolności; i jej zdawało się, że po obozie nic z tego co „z życia" nie może być smutne ani naprawdę przykre. I właściwie chwilowo marzyła tylko o odpoczynku i o spokojnym przyglądaniu się temu, co nazywała życiem. Obecnie najważniejszym dla niej było łóżko, na którym mogła się wygodnie rozciągnąć, krzesło, nakryty stół, kapelusz i trwała ondulacja. A także wystawy sklepowe. Zatapiała się w długich kontemplacjach przed pończochami, pachnącym mydełkiem, grzebieniami z masy przeźroczystej jak szkło, broszkami, koralami. Właściwie teraz jej stałym i najgłębszym marzeniem było leżeć w łóżku, oparta o ciepłe, miękkie poduszki, pod czystą, ciepłą kołdrą; i mieć rozrzucone na kołdrze te cuda z wystawy z dodatkiem kilku ciastek i kawałka słoniny.

Dla wszystkich innych spraw była tymczasem zbyt zmęczona i obojętna, ale tkwiła w niej przezorność, wiedziała, że jest zniszczona, postarzała, chora, że poza Frankiem nie znajdzie męża i że gdy wystawy nie będą jej nęcić, bardziej niż każdą inną kobietę, wtedy jej zaciąży staropanieńska przyszłość. Więc rozstanie z Frankiem nie było dla niej wesołe, ale też nie było tragiczne. Bez scen, bez łez, ze spokojną rezygnacją wyjechała do rodziny na prowincję.

Po jej wyjeździe Franek żył nadal bezkrytycznym zachwytem codziennego życia. Praca była rozrywką, każde najpowszedniejsze zdarzenie — przygodą, wszystko bez wyjątku było dobre dlatego tylko, że nie było obozem.

Jednakże znajomi widzieli, jak zachodziła w nim zmiana. Franek uspokajał się. Z każdym dniem lepiej wyglądał i z każdym dniem zmniejszał się jego gorączkowy entuzjazm dla życia. Powoli wracał do równowagi, już się nie kręcił po mieście oglądając i podziwiając wszystko, już nie zatrzymywał skwapliwie każdego znajomego, aby rozmawiać, on wolny, z drugim wolnym człowiekiem. Niepohamowana radość życia zmieniała się w głębokie, wciąż jeszcze bezkrytyczne, ale spokojne zadowolenie.

Zmiana stosunku Franka do rzeczywistości zaszła pewnego dnia nagle i gwałtownie. Nigdy potem Franek nie mógł sobie przypomnieć błahego wypadku, który to spowodował, będącego oczywiście bodźcem, nie przyczyną. Może to był obojętny ton sąsiada, gdy wskazując mu pewne miejsce na ulicy tłumaczył, że tego a tego dnia zostali tu rozstrzelani ci a ci. Albo przeciwnie — entuzjastyczne podniecenie, głęboka radość innego znajomego, który mu opowiadał, w jaki sposób przywiózł z Warszawy i sprzedał szabrowany towar.

W każdym razie zmiana zaszła z dnia na dzień, wstrząsem raptownym a gruntownym, niezrozumiałym dla normalnych ludzi. Ta nadwrażliwość obozowej duszy, która, jeżeli nie opanowała rozumem, to odczuła i przyjęła w siebie na zawsze istnienie i głębię spraw ponad zwykłą miarę, ta stale napięta wrażliwość, zareagowała z siłą tym większą, że spóźnioną. I tą swoją nagle skierowaną w jeden jedyny punkt wrażliwością, Franek spostrzegł owego dnia drewnianą obojętność zbyt wielu wobec całej ogólnopolskiej obozowej tragedii.

Z początku Franek czuł się po prostu oszołomiony zamętem, który w nim powstał. Spróbował przeciwstawić się temu, powrócić do poprzedniego stanu, do zachwytu i błogiego podniecenia, ale już nie odnalazł ani tego jesnego świata, ani samego siebie. Następnie spróbował przypomnieć sobie obóz, chciał pomyśleć, że wszystko to, co nie było obozem, już tym samym było dobre. Ale nie potrafił się okłamać. Był teraz zbyt wszczepiony w nowe życie, zbyt zrównoważony, zbyt zdrowy, zbyt mężczyzną. Nie uciekł przed rzeczywistością. Zamknął się w sobie, zesztywniał, stanął na uboczu i zaczął się przyglądać. A czym się bardziej przyglądał, tym bardziej zamykał się w sobie i zdumiewał. Jakże mógł nie zauważyć tego od pierwszej chwili? Jak mógł odczuwać taki całkowity niczym niezmącony zachwyt? Wmawiał w siebie, że może i teraz się myli; więc z maniackim uporem przyglądał się, badał, wypytywał, stwierdzał.

Czym się ci ludzie zajmowali? O czym myśleli? Czego chcieli?

Większość przeciętnych ludzi z codziennego życia, których Franek znał, tkwiła w swoich sprawach jak gdyby nigdy nic na świecie nie zaszło, byli zupełnie zadowoleni z siebie i z tego co robili, zawsze gotowi bronić swej wiary we własną nieomylność. Do obozowej rzeczywistości odnosili się jak do jakiejś dalekiej, makabrycznej, nieżyciowej i nieciekawej bajki. Czasami pociągał ich trochę i podniecał — makabryzm. Byli i tacy, którzy po prostu przyznawali się do swej obojętności. „To przyzwyczajenie" — mówili, ale Franek wiedział, że to była gruboskórność i sobkostwo, że nie mieli do czego się przyzwyczajać, bo prócz zwykłego strachu niczego nigdy nie odczuli. Zresztą Franek prawie ich wolał od tych wszystkich innych, którzy, gdy była mowa o Niemcach i obozach, litowali się nad ofiarami, wzdychali ciężko i ocierali oczy — aż Franek posępniał, czując, jakie to było powierzchowne i nieważne. Mówili, że ten nie wrócił, ten zginął, tamten przed śmiercią męczył się w taki a taki sposób, opowiadali ze szczegółami, rozwlekle, aby gadać. A jeżeli nawet czasami pojawiała się w ich słowie i geście nienawiść, to także była powierzchowna i nieważna, tkwiąca obok nich — nie w nich. Mogli się zdobyć na wzdychanie, albo grzebanie się w bolesnych wspomnieniach. Ale obóz nie wszedł im w krew, mózg, serce i dusze; obozowa tragedia nie przetworzyła się w nich na dojrzałość czy poważniejszy stosunek do życia. Franek nie gadaniny szukał, nie męczeńskiej twarzy; on sam mówił mało o swoich przeżyciach, a wyraz miał jeszcze człowieka upojonego szczęściem, że się stamtąd wydostał. Ale myślał, że na dnie duszy tych wszystkich ludzi, którzy, jak on, jedli, pili, pracowali, chodzili do kina i flirtowali, że gdzieś na dnie ich duszy powinien był istnieć także i obóz. A tego przeważnie nie było. Ludzie tylko jedli i pili, tylko zarabiali, kłócili się i kochali i żyli bezmyślnie, tkwiąc w starych przesądach, radując się nie wiadomo z czego, albo narzekając bezmyślnym wronim krakaniem. A w ujęciu tej jedynej i najważniejszej dla każdego z nich, i tak ważnej dla ogółu sprawy, jak życie każdego z nich, nie było nic głębszego; natomiast wszystko czego się tknęli, stawało się płytkie i mętne.

Franek stanął przed tym wszystkim z naiwnym, bezradnym i gniewnym zdumieniem człowieka prostego, który tylko widzi, że jest całkiem inny. Nie mógł się nawet pocieszyć takimi wygodnymi w swej wszystko tłumaczącej dokładności określeniami jak: kołtuneria, ograniczoność czy demoralizacja wojenna. Mógł tylko zadać sobie z gorzką pasją pytanie: — Psiakrew, co to za ludzie? Czy to oni mają bzika, czy też ja?

A choć nie umiał uświadomić sobie wyraźnie czego właściwie chciał, wiedział, że ma rację. Czuł, że powodem takiego stosunku ludzi do przeszłości i teraźniejszości nie był głęboki nurt życia spływający po minionym, ale płytkie, spokojne, bezbarwne, rozległe, zastraszająco rozległe bagienko.

Więc zaczął szukać towarzystwa byłych więźniów, ale i tutaj znalazł swoją obcość, nie przypominał żadnego z typów napotykanych, nie był inteligentem pielęgnującym troskliwie swoje przeżycia i powracającym do równowagi powoli, a świadomie; nie był człowiekiem kipiącym młodością, która ogłusza; ani otępiałym chamem, dla którego obóz — to tylko wspomnienie fizycznego bólu; ani zerem, które wraca do swojej nicości; ani „silnym" egoistą, który chce i potrafi zapomnieć w imię swego sobkostwa; ani człowiekiem wykształconym, rozumnie silnym, który wie dokładnie czego chce i jak ma do tego dążyć, i potrafi wpływać na innych. Franek nie należał do żadnej z tych kategorii. A jaki był? No, inny. Gdzieżby tam Franek, rzemieślnik, majster, człowiek czynny i zapracowany, miał czas, chęć i umiejętność psychologicznych samoanaliz! Inny był i już. I nie wiedział, że nosił w sobie odblysk tego czegoś, co widywał w obozie u wszystkich ludzi kończących życie, tego czegoś zawsze obecnego w dziecinnej bezradności konających, w grymasie spoconej twarzy katowanych, w nagłym, po krzykach i ruchu, spokoju umierających wśród katowania; tego czegoś, co było nieświadomym odczuciem powagi i wartości życia i ludzkich spraw, nawet przez najciemniejszych, w chwili, gdy życie i wszystkie ludzkie sprawy odchodziły na zawsze.

Franek zaciął się w swym odosobnieniu, mimo że samotność ciążyła mu wprost chorobliwie i zaczęła wypaczać jego stosunek do świata. Oddalił się zupełnie od znajomych. Rozmowa z nimi już nie była radosnym spotkaniem wolnego z wolnym, ale nieporozumieniem obcego z obcym.

Wieczorem wracał do domu i kończył swój dzień samotnością. Nie był stworzony na samotnika. Kręcił się po pustym mieszkaniu i marzył głęboko a boleśnie, o rodzinie, o takiej naprawdę swojej kobiecie, która mu wieczorem po pracy otworzy drzwi i poda kolację, i usiądzie obok, i będzie z nim rozmawiać, i zechce go zrozumieć.

Aż pewnego dnia, bez listów, bez jakichś tam historii, wsiadł do pociągu i udał się na prowincję do Krystyny.

Poszli do ślubu już nie jako widma, ale po prostu jako brzydcy, chorzy ludzie, on z czarną opaską na oku, ona żółta i pomarszczona.

Stali się mężem i żoną: i razem zaczęli urabiać pracowite życie codzienne.

A życie to ułożyło się nawet zupełnie dobrze. Krystyna, jak to kobieta, potrafiła się dostosować. Za dnia nauczyli się unikać siebie; mieli pracę, mieli to życie zewnętrzne, które teraz, gdy samotność i przewrażliwienie już nie stały na przeszkodzie, znowu przyciągało i chciało być odkryte; bo oczywiście okazało się, że lata obozowe nie mogły być wyrównane gorączkowym upojeniem tych paru pierwszych tygodni po powrocie.

A wieczorem, gdy zapada zmrok, Franek i Krystyna zbliżają się do siebie. Cicho siadają jedno obok drugiego, czując swoją obecność, ale nie widząc się po ciemku. Potem rozmawiają, małą ilością słów o dniu minionym, o pracy, o ludziach, o życiu. Śmieją się. Zgadzają się we wszystkim niemym porozumieniem.

O obozie nie mówią prawie nigdy. Ale wiedzą, że tak u niego jak u niej obóz tkwi we wszystkich myślach, słowach i czynach, że ich przeżycia zamieniły się w głębię, czasami naiwną, ale często zupełnie dojrzałą, w chęć zrozumienia spraw niecodziennych: w poważne, trochę bolesne, spokojne — ukochanie życia.

JERZY PUTRAMENT

Warszawa w lecie

Warszawa niewątpliwie zmieniła się od lutego. Powrót jej do życia jest widoczny. Przede wszystkim — ludność. Te tłumy na ulicach, spieszące, zaaferowane, rozgadane — chwilami przesłaniają ponurą dekorację wypalonych, pogruchotanych kamienic. Zapomina się, że ulica tutaj jest często tylko drogą.

Ale i w samym mieście widać więcej życia niż dotąd. To co w lutym wydawało się tylko kamiennym chaosem rozdzieliło się na domy martwe i żywe. Po pierwszym wrażeniu całkowitego zniszczenia, ilość zdatnych do życia kamienic wydaje się cudownie duża. Zwłaszcza peryferie — Mokotów, Żoliborz — są zaludnione w stopniu wcale wysokim. Tutaj można już mówić o — wprawdzie poharatanym — ale mieście.

Ten powrót do życia nosi dotąd jeszcze charakter raczej żywiołowy niż planowy, witalny niż socjalny. Z planowej akcji niewiele się widzi poza uporządkowaniem jezdni. Te kilka wozów ciągnących gruz z Krakowskiego Przedmieścia dostrzega się tylko jako wyjątek. Uwypukla go cisza panująca na ogromnych wymarłych terenach śródmieścia i dzielnic północnych.

Za to sklepiki z dykty, wyrastające rzędami przy opustoszałych placach, byle jak odremontowane izdebki na drugich i trzecich piętrach wypalonych domów, okna, pozabijane deskami z małym okruchem szyby — te przejawy życia rzucają się w oczy.

Warszawa przeżywa teraz dziwny proces. Jest zdegradowana o wiele podziałek na skali socjologicznej. Zrąbana przez niemieckiego furiata, odradza się powoli. Na jej odciętych konarach, na jej wypalonym pniu krzewią się porosty, puszczają powoli pędy pojedyncze gałęzie. Warszawa dzisiaj nie jest jeszcze wielkim miastem. Są to raczej trzy nieduże miasta: Praga, Mokotów, Żoliborz — połączone z rzadka rozrzuconymi w kamiennej pustyni osiedlami ocalałych bloków. Zamiast istotnego cenzusu wielkiego miasta — przemysłu — krzewią się drobnoustroje sklepików i straganów. Zamiast wielkomiejskiego transportu — Marszałkowska zapchana jest dziwacznie anachronicznymi omnibusami: ciężarowe platformy na gumowych kołach, przerobione paru ławkami na wozy pasażerskie.

Ale się przecież czuje narastanie chwili, gdy wielkie dzieło odbudowy ruszy z miejsca. Kłęby pary nad gazownią, stada ciężarówek w żółtej liberii SPB (Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane), światło i woda w szeregu mieszkalnych domów śródmieścia — wszystko to pozwala wierzyć, że siły odbudowy zajmują pozycje wyjściowe, że zacznie się wreszcie wielka ofensywa przeciwko zniszczeniu i śmierci.

Kiedy nadbiegnie deszcz — trudno jednak te optymistyczne nastroje przeżywać. Ulewa spędza to, co najcenniejsze, najżywsze w Warszawie — ludzi. Z gruzów spływają brudno żółte strumienie. Wyją potargane druty. Zgrzyta rdzewiejąca, pokaleczona blacha. I tylko głośniki na bezludnych placach powtarzają ciemności i wichurze czyjeś przemówienie.

CHŁOPCY Z NOWOLIPEK

Ale ranek znowu jest słoneczny. Białe chmury i zbyt zimne, jak na czerwiec, niebo otulają Ogród Saski tłem, którego koloryt ułatwia marzenia. Wylot Marszałkowskiej jest ścięty, najbliższe domy zburzone. Może to odsunięcie kamiennego obramowania sprawia, że Ogród wydaje się rozleglejszy. Jest w tym jakiś nawrót do empire'u, jakieś podobieństwo do rokokowych pejzaży.

Ludzi tu mało, aleje są uporządkowane, drzewa zielenią się na przekór wszystkiemu. Na wypalonej do cna kamienicy odżyły pędy dzikiego wina i troskliwie starają się otulić wyrwy po pociskach.

Jadę samochodem przez najbardziej opuszczone dzielnice. Szukam „jądra ciemności", „oka cyklonu" zburzonej Warszawy — ghetta. Wiem, że to gdzieś tutaj, ale dotąd go nie widziałem.

Dzielnica za Żelazną Bramą nie jest więcej zniszczona niż reszta śródmieścia. Może nawet mniej. Na rogu Alej i Marszałkowskiej, na Marszałkowskiej aż po Nowogródzką, w dziesięciu innych punktach śródmieścia potworzyły się ogromne targowiska jarzyn, pieczywa i starzyzny. Ale tutaj w spalonych halach Mirowskich, na największym placu targowym dawnej Warszawy — ani żywej duszy. Dokonało się jakieś przesunięcie ośrodków życiowych. Środek ciężkości Warszawy jest dziś gdzie indziej — bliżej południa i wschodu.

Jadę na chybił trafił. Ghetto było zbyt wielkie. Nie pytając niemal nikogo natrafiłem na wysoki, czerwony mur. Kilkaset metrów — i jest brama.

Podręczniki geografii wymieniały kiedyś z pewną dumą „pustynię błędowską", naszą największą piaszczystą Saharę. W środku Warszawy jest dziś kamienista, betonowa, ceglana pustynia — kto wie czy nie większa od tamtej.

Takiej ruiny nie widziałem nigdzie. Nawet Wiaźma, małe miasto za Smoleńskiem — spalona doszczętnie i częściowo zburzona po spaleniu — to tylko aluzja do ghetta.

Jedziemy wąską ścieżką asfaltu, cierpliwie się wijącą między napierającymi nań zewsząd zwałami gruzu. Za chwilę — nic poza gruzami nie widać. Cóż za nieludzki pejzaż!

Włażę na szczyt kilkumetrowego osypiska. Jakaś kępa zielonych drzew. Dalekie szeregi wypalonych kamienic. Ich oślepłe ściany wydają się stąd czymś niewiarygodnie całym.

Zwaliska ciągną się regularnymi łańcuchami jak wydmy i to tylko pozwala dostrzec miejsca byłych domów. Ulewy kwietniowe i czerwcowe ożywiły zagubione tu nasiona. Pęk żyta wyrasta spod cegły. Ktoś uronił przed dwoma laty ziarenko. Tyle po nim zostało. Jakiś podmuch podrzucił puszystą baźkę osiny i trzy zielone pręty na szczycie zwaliska kołyszą się w słońcu. Na garstkach ziemi pracowicie rozpiera się trawa. Kwitną żółte mlecze.

Tu i ówdzie cegły, spojone lichą zaprawą, rozsypały się po wybuchu jak klocki — całe. Te by można zwozić, z tych się coś wybuduje. Ale większość tej pustyni nadawałaby się raczej na wyrównanie i ubicie. Na tym gruncie wyższym od poziomu Warszawy o metr czy dwa można by budować jak na równym polu.

Spod zwaliska wysuwa się nagle trójka dzieci. Starszy, trzynastoletni ciągnie dziecinny wózek, naładowany szczątkami desek, osmalonymi resztkami ram okiennych i drzwi, zmurszałym drewnem podłogi. Zatrzymuje się na rozstaju ścieżek, zostawia kilkuletnią dziewczynkę na straży, a sam z pięcioletnim towarzyszem drapie się na zwalisko.

Błądzi, najuboższy z warszawskich eksploratorów czy szabrowników, przeskakując z cegły na cegłę. Jest opalony i rozmowny. Nazywa się Zdzisław Romanowski. Mieszka z matką i siostrą Stasią (ta przy wózku). Oczywiście bez ojca. Ojciec garbarz, wzięty w powstaniu. Był w Buchenwaldzie. Zwykła w Warszawie historia. Zdziś to rozumie, i żeby uraczyć mnie czymś sensacyjnym wskazuje na młodszego: ten był w Berlinie.

Młodszy, Edward Umiastowski, przestępuje z nogi na nogę. Jest trochę onieśmielony indagacją, trochę jednak to mu imponuje. Odpowiada od niechcenia: — A tak, wzięli go z matką i ojcem. Ojciec był kamasznikiem. Jak się zaczęło powstanie — popędzili ich wszystkich. Ojca też do Buchenwaldu. Jego z matką do Berlina. Matka pracowała w fabryce. Wrócili trzeciego maja. Ojca nie ma dotąd.

— No i jak tam było w Berlinie?

— Dobrze — i z rozmarzeniem dodaje: — Brukiew dawali.

Trudno z nim dłużej rozmawiać. Trudno patrzeć na cegły, rumowiska, trawę, niebo. Trudno myśleć. Ta wizja szczęścia dziecinnego, ta wizja brukwi, słodko wspominanej w Warszawie.

Jedziemy z powrotem. Zagubiony szczątek muru, wąski i wysoki, jak posąg. Z całej dzielnicy ocalał fragment reklamy ściennej: „bolesne usuwanie odcisków". „Bez" zmiótł wybuch.

I na ścieżce asfaltowej kij, wbity w gruzy przez jakiegoś maniaka czysto teoretycznej w tych warunkach planowości. Na kiju tabliczka: ulica Nowolipki.

*

Wieczorem, w domu na Wiejskiej, ocalałym, odremontowanym, zupełnie „europejskim" rozmawiam z ob. Ż., jednym z czołowych naszych publicystów. Każdy, kto usiłuje myśleć w naszym narodzie, dziś jest po trosze historykiem i historiozofem. Zwłaszcza w Warszawie. Niesłabnący wstrząs na widok tragedii tego miasta każe każdemu szukać przyczyn.

I my ich szukamy. Znajdujemy, nie pierwsi. Sięgamy — etap po etapie, sięgamy wstecz od skutku do przyczyny — i dochodzimy po raz Bóg wie który do wschodu. Dawniejsze Białecerkwie i Humanie, niedawne Nieświeże i Ołyki, kamieniem nam u szyi wiszące ziemie magnatów i poetów, cudownego piękna i nieludzkiego ucisku i rzezi, rzezi obustronnych, zajadłych i bezmyślnych. Tu, w Warszawie takie rozważania pozbawione są nalotu abstrakcji, czystej teorii. Tu każdy kamień jest ogniwem w łańcuchu dowodów. Tu nie można być beznamiętnym. Ach, namiętności nam nie brak. Byleby starczyło myślenia.

Tegoż dnia, wcześniej, na ulicy Hożej rozmawiałem z uczestniczką powstania, aktywną działaczką AK, zapaloną, nieprzekonaną do dzisiaj. Ma żal do wszystkich. Do wszystkiego. Nawet drzewa, które się zielenią, które nad podziw liczne ocalały — ją drażnią. Wszystko minęło, wszystko spłonęło — a one żyją, jak gdyby nigdy nic.

— Nie można było powstania uniknąć — mówi — zbyt dużo nagromadziło się łatwopalnego materiału. To musiało wybuchnąć. Z tego czy innego powodu — to obojętne.

Tak mówi nasz temperament, nasz charakter wyhodowany jakże często też na owej kresowej pożywce, na kresach, gdzie musiało się być rubasznym zabijaką, gdzie nie popłacało myślenie.

Nie, nie obojętne — z jakiego powodu. I — zwłaszcza — w jakim celu. Pod czyimi rozkazami. Kiedy. Jak.

— Czyście obsadzili mosty? — pytam. — Czyście zdobyli Aleje Jerozolimskie?

— Nie. Aleje były niczyje. W jednym miejscu można było przebiec. Niemcy bardzo strzelali. Doprowadzono mnie i powiedziano: proszę szybko. I proszę nie potknąć się — tam pośrodku leży ten w szarej wiatrówce. Widziałam go. Zrobiło mi się przykro. Pomyślałam: potem będą mówić następnemu: proszę uważać, tam pośrodku leży ta w jasnym kostiumie. Ale przebiegłam.

To my umiemy. To nasz powód do dumy — bieganie, padanie, umieranie. Słuszny powód. Często nie można nie umrzeć.

— Czy pan wie — mówi Ż. — że to, cośmy stracili w Warszawie — nawet w czysto materialnym obrachunku — jest z pewnością więcej warte niż to, cośmy stracili na całym wschodzie.

Przytacza kilka cyfr. Są przerażające. Podchodzę do okna. Deszcz. Wiatr. Mróz przebiega po skórze. Zimno, czy te cyfry?

Czemu tak późno dochodzimy do myślenia?

STEFAN FLUKOWSKI

Pułaski

Dęba stanął źrebi ranek
nocy na przekorę,
pogryzły się dnie bułane
i wieczory wrone.

Bulgocą brzozowe gaje
tabunami koni,
biały ogier biegnie majem
i szumy drzew goni.

I chociaż się okryły gęstą
zielenią warkoczy,
dudni w gajach podków chrzęstem
i rżeniem się toczy.

*

Wycwałował młody w pole
spod lasu obręczy,
i już skreślił ostrzem szabli
w pół nieba łuk tęczy.

I już pędzą w tęczy bramę
ćmy szwadronów gęsto,
wolność wszędzie jedno znaczy —
w błysku stali męstwo!

Wyjechał hen miedzą w pole,
obrócił w pół świata,
jak z bicza strzeliło życie —
trzydzieści dwa lata!

*

Trzęsła z siebie liście brzoza
— panna bólu pełna —
biały mustang z grzywą we krwi
gna polem Savannah.

Życie Kościuszki

Z wody srebrnego nurtu, z wierzbowej nuty,
spod pni spróchniałych bladym światłem fosforu zasnutych,

z błysku pioruna co ogniem cisnął w źrenicę rysią
wyleciał modry motyl w ów czas roku tysiąc

siedemset czterdziestego szóstego, w ów czas gdy kukaniem
zielonym wabiło lato i o deszcz wołały kanie.

A potem dzień za dniem gęsiego z młodości umykał,
bezsenne noce cięła rytmem kogutów muzyka,

póki wiek męski nie przyszedł i rachunkiem nie spoił
blindaży Filadelfii, okopów West Point.

Jeszcze na polach Racławic, gdzieś w fałdach sukmany
błąkały się echa burz ryjących oceany,

i na kartach uniwersałów hańbę carskich rubli
zwyciężał głos wolności gwiaździstych republik.

I chociaż paść wypadło i krew własną ronić
przecież przesłanie zostało w nieskalanej dłoni,

pozostał blady sznurek warg zwartych milczeniem
i łzie z kryształu toczonej podobne sumienie.

Teraz koń tylko w bruki kopytem uderza
i wyłącza swoje skarby szczodrobliwa wieża,

zamiast kogucich zegarów Solury muzyka
i tak dzień za dniem gęsiego a chyłkiem pomyka,

póki z wierzbowej nuty w godzinę stuleci
żałobny motyl w przestwór wieczności nie wzleci.

Romain Rolland i Maksym Gorkij

Uczucia wzajemnej sympatii i głębokiego szacunku zrodziły się u obu pisarzy od dawna. Zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej w czasie pierwszej wojny światowej, kiedy Rolland podobnie jak Gorkij podniósł swój głos przeciwko napastnikom. „Czytałem wszystkie pańskie artykuły w czasie wojny i wyrażam panu mój najgłębszy z ich powodu szacunek". „Pokochałem pana za nie. Należy pan do tych nielicznych, których duszy nie zamąciła bezmyślność tej wojny" — pisał Gorkij do Rollanda w końcu grudnia 1916. Odpowiedział mu na to Romain Rolland w Genewie w styczniu 1917 r. w słowie wstępnym, poprzedzającym odczyt Łunaczarskiego o życiu i twórczości Gorkiego. „W szeregu pisarzy, artystów i myślicieli, którzy w ciągu kilku dni zrezygnowali ze swej misji przywódców i obrońców ludów, aby pójść za oszalałymi stadami, doprowadzać je swym krzykiem do wściekłości i spychać w otchłań, jest Gorkij jednym z tych nielicznych, którzy zachowali rozum i miłość do ludzkości".

Po rewolucji październikowej 1917 r. obustronny stosunek nabrał charakteru trwałego, gorącego przywiązania. „Mam zaszczyt uważać go za swego przyjaciela" — pisał Gorkij o autorze „Jana Krzysztofa", a Rolland powiedział o nim w poufnej rozmowie z żoną: „Kochałem go bardziej, aniżeli wszystkich przyjaciół, nigdy nie kochałem nikogo tak gorąco!"

Ta przyjaźń dwóch wielkich pisarzy była symbolem ciążenia ku sobie czołowych przedstawicieli Rosji i Francji. Gorkij widział w Rollandzie wcielenie francuskiego patriotyzmu. „Rolland jest uparty i śmiały jak prawdziwy Francuz" — pisał w jednym z listów. Gorkij był dla Rollanda najgłębszym wyrazicielem socjalistycznych tendencji rosyjskich mas ludowych.

W czasie swego długiego i twórczego żywota Romain Rolland dwukrotnie doświadczył na sobie wpływu pisarzy rosyjskich — Tołstoja i Gorkiego. Oba te nazwiska związane są z przełomowymi okresami w jego poglądzie na świat. Znakomity pisarz, utalentowany muzyk, uczony, Romain Rolland był równocześnie wybitnym społecznikiem i działaczem politycznym. Nie napróżno określił kiedyś swą działalność jako wieczny bunt. Postawy tej nie porzucił nawet wtedy, kiedy stał się człowiekiem izolowanym, znienawidzonym i pogardzanym przez mieszczaństwo.

Bunt Rollanda przeciw więzom mieszczańskiego nacjonalizmu i kapitalizmu zamykał się z początku jedynie w proteście indywidualnym, gniewnym, namiętnym, szczerym, ale nie wychodzącym poza granice utopijnych iluzyj na temat możliwości przezwyciężania społecznego zła drogą wewnętrznego, etycznego doskonalenia się.

Nic dziwnego, że panem i władcą jego świata duchowego był przez długi czas „apostoł wszechczłowieczego braterstwa" Lew Tołstoj, z którym Rolland zaczął korespondować jeszcze jako młodzieniec. Serię wspaniałych biografii otworzył Rolland opisem „bohaterskiego żywota Tołstoja". „Dobroć, rozum, bezwzględna prawdomówność Tołstoja, sprawiły, że ten wielki człowiek stał się dla mnie najwierniejszym przewodnikiem wśród anarchii moralnej naszej epoki" — pisał Rolland w roku 1902. Głębokie, choć niezupełnie bezkrytyczne przejęcie się Tołstojem było tak wielkie, że na jeden z pierwszych listów młodzieńczych Rollanda autor „Wojny i pokoju" nadesłał odpowiedź na trzydziestu ośmiu bitych stronach. Wpływ Tołstoja nie powstrzymał jednak Rollanda od samodzielnego dociekania prawdy socjalnej.

W latach 1917—18 rysować się zaczął nowy etap w poglądzie na świat Rollanda. Jeszcze głośniej i mężniej zaczął brzmieć głos pisarza, piętnujący zdrajców demokracji, szowinistów, niszczycieli kultury. Od etycznego buntu Rolland przeszedł na platformę bezpośredniej walki. Była to, jak sam później wyznał, droga prowadząca „od ciasnego indywidualizmu do rewolucji proletariackiej", o której pisał w artykule „Moja droga do rewolucji": „Kiedy tylko rozpoczęła się rewolucja rosyjska, byłem jednym z pierwszych, który ją z radością powitał".

Kiedy około 1930 r. nastąpiła mobilizacja moralnych i intelektualnych sił starego świata przeciw ZSRR, podjęta przez międzynarodowy faszyzm, Romain Rolland oświadczył bez ogródek, że „we wszystkich krajach powinny powstać ośrodki obrony Związku Radzieckiego przed wrogami zagrażającymi jego rozwojowi". „Od obowiązku tego — zapewniał Rolland w swym liście do Stalina, pisanym w lipcu 1935 r. — nigdy nie odstępowałem i nigdy, póki żyć będę, nie odstąpię".

Od tego czasu Romain Rolland związał się nierozerwalnie z Gorkim. Nie znając się, obaj marzyli o osobistym zetknięciu, do którego jakoś nie dochodziło. „Nigdy go nie widziałem — pisał Gorkij — ale mam wrażenie, że oczy jego są spokojne i smutne, a głos ma cichy, lecz twardy".

W roku 1935 Romain Rolland przyjechał do Moskwy i wreszcie pisarze poznali się osobiście. Przy pożegnaniu Gorkij wziął od Rollanda przyrzeczenie powtórnego przyjazdu do Rosji, ale pierwsze spotkanie było ostatnim...

Śmierć Gorkiego głęboko wstrząsnęła Romain Rollandem. Jak wynika z notatek żony Rollanda, Rolland zaczął objawiać wielki niepokój od chwili otrzymania pierwszej wiadomości o chorobie autora „Na dnie". „Nigdy nie widziałam Romain Rollanda w takiej rozpaczy; — pisze pani Rolland — choć przeczuwał katastrofę, wiadomość o śmierci Gorkiego wstrząsnęła nim do głębi. Gdy nadeszła pierwsza depesza (zakomunikowana telefonicznie z Lozanny), a ja powróciwszy do Rollanda, z którym akurat miałam lekcję rosyjskiego (godzina 6—7 wieczorem), powiedziałam mu o tym, — on tylko podniósł rękę do twarzy i powiedział:

— O, Boże, o Boże!

Powtórnie wezwano mnie do telefonu (druga depesza); powróciwszy, zastałam Rollanda zalanego łzami i z takim wyrazem twarzy, że się przelękłam".

„Minęło już trzy dni — czytamy w notatkach — a ból nie słabnie. Rolland zdawał sobie sprawę, że bardzo kocha Gorkiego, — ale teraz mówi:

— Nawet nie uświadamiałem sobie, że tak go kochałem!"

Romain Rolland robił sobie ciągle wyrzuty, że podczas spotkania z Gorkim w Moskwie nie umiał w całej pełni dać wyrazu swemu uczuciu do niego. Uważał, że przeszkodę stanowiła niemożność bezpośredniego porozumienia się i to było główną przyczyną, dla której postanowił nauczyć się języka rosyjskiego.

(Na podstawie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Nowyj mir", nr 1, 1945 r.).

Artyści lubią konkretność

W numerze 5 „Trybuny Związkowca" ukazał się artykuł „O upowszechnieniu kultury i sztuki". Autor pisze o zjawiających się w prasie codziennej atakach na Ministerstwo Kultury i Sztuki, że pochodzą „najczęściej ze strony artystów, którzy mają krytyczne uwagi więcej do form niż do treści". Znając wielu artystów, mogę zapewnić autora, że ich uwagi dotyczą treści, w każdym razie treści tego artykułu. Rzecz w tym, że artyści lubią konkretność, a pod tym względem artykuł w „Trybunie Związkowca" nie wszystkich zadowala. Autor pisze: „Dzieje sztuki wskazują, że służyła ona zawsze klasie panującej dla umocnienia jej panowania". Artyści chcieliby skonkretyzować to na przykładach. Więc na przykład Mickiewicz w poezji, Goya w malarstwie, encyklopedyści francuscy, Jan Jakób Rousseau, wiersze komunardów francuskich. Jeśli te przykłady nie wystarczą, to artyści mogą dodać kilka nowszych.

Nie wszystkie wywody autora artykułu są równie bałamutne, ale ten jeden wystarczy do wywołania niesmaku, tym bardziej, że autor pozwolił sobie na opatrzenie swojego artykułu cytatą z pisarza o tak żelaznej dyscyplinie myśli, jak Stalin.

Autor artykułu wylicza obszernie, co trzeba robić, zapomina tylko dodać, jakimi środkami. Więc np.: „Trzeba niszczyć wybujały egocentryzm artystów, uprawiających snobistycznie i sybarytystycznie kult sztuki dla sztuki (jak obżartuchy, smakosze). Ten bowiem kult kryje w sobie zawsze zarodek zwyrodnienia, albo oszustwo obcej propagandy, działającej destrukcyjnie na czystość sztuki narodowej". Artyści zgadzają się oczywiście, że trzeba niszczyć wybujały egocentryzm i proponują konkretnie zastosować w tym wypadku trutkę na szczury. A na obżartuchów i smakoszów, którzy są rozsadnikami obcej propagandy, artyści mają świetny sposób, zwany w ich narzeczu abrakadabra.

Tak poważną rolę odgrywające pismo, jak „Trybuna Związkowca", powinno zrozumieć, że tego rodzaju artykuły nie przyczynią się do porzucenia egocentrycznej postawy wśród artystów i wyświadczą złą przysługę najlepszej sprawie. Chciało by się polemizować z autorem artykułu na serio, ale nie podobna... Artyści lubią konkretność i nie lubią marzyć. Ale autor artykułu roztacza tak czarowne helleńskie wizje, że trudno się im oprzeć: „Trzeba urządzać na wolnym powietrzu, na placach, polanach, w miastach, miasteczkach, na wsi — igrzyska, inscenizacje, widowiska masowe". Idzie tylko o drobiazg, jakie to igrzyska, kto ma w tych inscenizacjach grać, kto ma te widowiska urządzać i kto na to będzie bulił? Z jeszcze większą radością artyści dowiadują się z artykułu o tym, że „obecnie rozpowszechnił się zwyczaj bankietów. Trzeba jednak te wspólne biesiady upiększyć więcej żywym słowem poetów, pieśnią śpiewaków, niźli czczą paplaniną powtarzających się mówców. I mniej wódki, a więcej harmonii słów i melodii".

Artyści lubią konkretność, więc proponują dla harmonii dodać do tego kilka hurys z mahometańskiego raju, który doskonale obywa się bez alkoholu, a wtedy nic już nie trzeba będzie upiększać krasomówstwem.

Adam Ważyk

Zaprenumerować „ODRODZENIE"

można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą przekazu pocztowego. Prenumerata miesięczna wynosi 21 zł., kwartalna 63 zł.

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA

W baraku*)

ŻYD I: Dlaczego oni nas tu przywieźli?

ŻYD II: Co oni z nami zrobią? Podobno duszą gazami (płacz, zawodzenie).

REBE: Cicho, dzieci. Może oni nas wezmą do roboty i będziemy pracować.

ŻYDÓWKA: A jeść nie dają wcale.

ŻYD III: I pić — tak się chce pić.

REBE: Niedługo pewnie dadzą jeść i pić. (Słychać krzyk).

SURA (córka rebego): Tate, co tam tak krzyczy?

REBE: Ludzie.

SURA: A czego oni?

REBE: Nie wiem, moje dziecko.

SURA: Oni się boją. Tate, oni się czegoś boją.

ŻYD II: Cicho.

ŻYDÓWKA: Cicho.

GŁOS STRAŻNIKA (za drzwiami): Do łaźni.

GŁOS WIĘŹNIA: Ja nie chcę. My wiemy — psy, zbrodniarze. Ja nie pójdę. (Wszyscy słuchają przerażeni).

SURA: Oni... oni na śmierć, tate.

REBE: Nie słuchaj (tuli ją).

ŻYD (trzęsą mu się ręce, patrzy na rebego): Rebe, to my też może... (patrzą na siebie).

REBE (po chwili): Może też.

ŻYD III: Rebe — ratuj nas.

REBE: Ja was nie mogę całkiem ratować. Ja wam mogę tylko pomóc.

ŻYD II: Pomóż nam.

REBE: Pamiętajcie — wy nie możecie krzyczeć jak tamci. Kto krzyczy — temu gorzej. Temu bardzo źle. Wy musicie cicho. Tak lepiej — cicho. Pan Bóg na nas patrzy i on wszystkich pomści. On patrzy i liczy. Jemu nie trzeba przeszkadzać.

ŻYD III: Ja nie wytrzymam, rebe.

REBE: Ty musisz wytrzymać. Pomyśl, że ty już nie żyjesz i patrzysz z tamtego świata tutaj, co oni z tobą robią — z twoim ciałem. I ty się nie boisz nic.

SURA: To trudno, tate. (Nagle wszyscy cichną: słychać kroki).

ŻYD I: Idą.

ŻYD II: Idą.

ŻYDÓWKA: To tu.

SURA: Tu.

ŻYD III: Po nas idą.

SURA: Tate, ja z tobą. Ja razem z tobą. (Wchodzi dozorca i komendant obozu: średni wiek, zamyślony, bardzo przystojny).

DOZORCA: Komm. I ty komm. I ty komm. Do łaźni. (Wybiera).

ŻYD I: Rebe, ja na śmierć.

INNY: My na śmierć, rebe.

ŻYDÓWKA: Pobłogosław nas.

REBE: Moje dzieci — dzisiaj zobaczymy się przed tronem Wiekuistego. To nie będzie długo. To tylko chwila. (Partia odchodzi).

KOMENDANT (zbliża się): Który to jest rebe — sławny rebe?

DOZORCA: To ten. No, rusz się.

KOMENDANT (zamyślony nie patrząc mówi obojętnie): Mój przyjaciel miał zwyczaj każdemu rabinowi zdzierać pejsy i brodę razem ze skórą.

SURA: Tate.

KOMENDANT (spojrzał na nią przelotnie): Ale ja tego nie zrobię (zgaszony). Niestety, nie mam takich zwyczajów. (Kiwa na Żyda). Ty — chodź bliżej. Zapomnij gdzie jesteś i do kogo mówisz. Ja chcę z tobą pogadać — tak po prostu. (Bez ironii). Ty jesteś święty człowiek?

REBE: Tak.

KOMENDANT: Grzechów nie masz?

REBE: Mam grzechy.

KOMENDANT: No to jakże ty jesteś święty?

REBE: Nawet anioły mają swoje grzechy.

KOMENDANT: Aha (poważnie). Ale cudu nie możesz zrobić.

REBE: Czasem mogę.

KOMENDANT: A teraz?

REBE: Teraz to ja już zrobiłem cud.

KOMENDANT: Jaki?

REBE: Oni się trochę mniej bali — ci, co poszli.

KOMENDANT (po namyśle): Tak, to jest duży cud. A ty — ty pewnie się wcale nie boisz?

REBE (patrzy na niego — uśmiecha się słabo): Moje ciało się boi.

KOMENDANT: Śmierci?

REBE: Tak.

KOMENDANT: I mnie. Że może będę męczyć?

REBE: I ciebie.

KOMENDANT: I ty się nie wstydzisz mówić?

REBE: Nie. Bo moja dusza nie boi się.

KOMENDANT: Aha, twoja dusza. (Nagle zmienia poważny ton na prawie lekki). A ja się tak bawię z tobą jak kot z myszą. (Chmurnie). To jest przyjemnie. Czy czujesz, rebe, że to może być przyjemnie? (Patrzą na siebie).

REBE: Nie wiem. (Spuszcza oczy).

KOMENDANT: Ty byś chciał w tej chwili być na moim miejscu. Ty byś chciał tak ze mną, jak ja z tobą.

REBE (milczy, patrzy).

KOMENDANT (uśmiecha się, mówi cicho): To jest piękne, ta nienawiść. Ona jest najpiękniejsza w człowieku. To jest szczyt, to jest wielka wolność. Wyzwolenie z cierpienia. Kto tak nienawidzi, jest więcej niż człowiek. Ja ci zazdroszczę, rebe. Nienawiść taka, żeby była większa niż strach przed śmiercią...

REBE: Jest gorszy strach.

KOMENDANT: Gorszy?

REBE: Jak kto się życia boi. Własnego życia. Ty się tak boisz.

KOMENDANT (gniewnie): Skąd wiesz?

REBE: Ja wiem różne...Od Pana Boga. Ty jesteś z tego chory.

KOMENDANT: Od Pana Boga. (Śmieje się). Pierwszorzędne źródło informacji. (Kiwa głową). On zna się na medycynie, ten twój Pan Bóg. Tak, ja jestem chory i nie mogę zapić tej choroby. Różni lekarze leczyli, a żaden nie powiedział co to (poważnie). Aż dopiero taki zawszony rebe na godzinę przed komorą gazową. Chodź tu — słuchaj. (Zbliża się). A może ty mnie potrafisz wyleczyć, co?

REBE: Ciebie nikt nie wyleczy.

KOMENDANT (nagle w dobrym humorze): Eh, rebe, jednak ty jesteś ordynarny. Znać, że ci brak ogłady i wykształcenia medycznego. Żaden z moich lekarzy tego mi nie powiedział (serio). Oni nie lubią mówić prawdy, co?

REBE: Nie wiem, proszę pana.

KOMENDANT: Z tobą się jednak miło rozmawia. Tu jest dosyć nudno. Strzępy ludzkie — to nieestetyczne. (Ordynarnie). Bo tu jest wielki skład łachmanów, wytwórnia ludzkich szmat — ha, ha. (Przygląda mu się z życzliwym zadowoleniem). A ty — człowiek. Cóż — dobrze. Bardzo dobrze. (Uśmiecha się). To jest właściwie — raczej dla mnie dobrze, niż dla ciebie. Bardzo lubię spotykać ludzi.

REBE (trochę zmieszany): Ja nie rozumiem.

KOMENDANT: No, nic. Ale ty mi postawiłeś diagnozę i ja ci chcę za to odpłacić. Jestem, widzisz, dobry. Bywam dobry. Musisz to zresztą sam czuć, jeśli jesteś taki psycholog. (Patrzy na Surę). Ta dziewczyna to twoja córka?

REBE: Tak.

KOMENDANT: Ładna Żydóweczka. Ile ona ma lat?

REBE: Siedemnaście.

KOMENDANT: Bardzo ładna. Jej szkoda. Ja ją — uwolnię.

REBE (patrzy nie rozumiejąc).

KOMENDANT: Z kobietami zdarza się różnie. Potrzeba damskiej obsługi do kasyna. (Do Sury). Ty, chodź tu. Jak się nazywasz?

SURA: Sura.

KOMENDANT (łagodnie): Boisz się, co?

SURA: Ja...

KOMENDANT: Piękna. Zupełnie Judyta. Czystość i tragizm... Ja ją wezmę, tę twoją Judytę. (Ze szpetnym uśmiechem). Najpierw do siebie na dzień, dwa, — no cóż, rozumiesz, wszyscy jesteśmy ludzie. A potem zaproteguję dalej... Do kasyna. Karierę jeszcze zrobi. Tu jest tylu panów, cały garnizon przecież. (Do Sury): No, ty — chcesz żyć?

SURA (tuli się do ojca): Tate, ja z tobą.

KOMENDANT (trochę znudzony): No, panienko, liczę do dziesięciu. Cóż, może tak kochasz ojca — ja nie namawiam. Ale jeśli chcesz żyć, to staniesz sobie tutaj na środku. No, liczę. Raz...

SURA (przytulona do ojca mówi cicho): Ja z tobą.

KOMENDANT: Dwa...

REBE: Sura!

KOMENDANT: Trzy...

SURA: Ja z tobą.

KOMENDANT: Cztery...

SURA: Z tobą.

KOMENDANT: Pięć...

SURA (ciszej): Z tobą.

KOMENDANT: Sześć...

SURA (ciszej): Tate...

KOMENDANT: Siedem...

SURA (cicho): Tate.

KOMENDANT: Osiem...

SURA (nagle krzyczy trzęsąc się): Ja nie chcę. Ja z tobą! Z to... (Raptem milknie, sztywnieje, zastyga w bezruchu — nasłuchując w najwyższym napięciu, kiedy komendant powie):

KOMENDANT: Dziewięć.

SURA (zwolna jak automat opuszcza ręce z szyi ojca, nie patrząc wstaje i czyni jeden krok).

REBE: Sura!

KOMENDANT (patrzy na nią uważnie): Dzie...

SURA (robi jeszcze jeden krok).

KOMENDANT: ...sięć.

SURA (stoi na środku jak odurzona).

KOMENDANT (oddycha oswobodzony z napięcia nerwów, uśmiecha się wesoło): No, sprawa załatwiona. Uf, ile to ja czasu straciłem na ciebie, rebe. Widzisz, masz szczęście. Niedawno tu jesteś, ale już chyba zdążyłeś się zorientować, że tu się nie bawią w ceregiele. Cóż — wiadomo. Tyle ludzi. I to jest wojna. I to jest (okrutnie) jak się u nas mówi między sobą: — Vernichtungslager. Ale ja mam czasem fantazje. (Poufnie, trochę smutno). Jak za dużo wypiję, albo jak natrafię na człowieka, wtedy jestem dobry. Pogadam nawet. Z córką też można było inaczej, ale ja nie jestem brutal. Nie przymuszam. Cóż, żal mi, bo taka ładna. Prawdziwie dziewicza piękność. No, to ty mi podziękujesz za to wszystko, prawda? Za tę córkę. (Woła do więźniów siedzących w głębi). Chodźcie tu, popatrzcie. To wasz rebe, święty człowiek. On uklęknie i podziękuje mi za to, że... (urywa, mówi wolno, z diabelską satysfakcją) że... ja jego córkę biorę na zabawę dla mnie i dla moich kolegów.

REBE (nie patrząc, cicho): Ja nie mam córki.

KOMENDANT: Tak? To ty na nią wydajesz wyrok. Zaraz przyjdą po was (Sura wzdryga się) i ona pójdzie razem (do Sury). No, poproś ojca.

SURA (chce coś powiedzieć, ale milczy. Patrzy na ojca szeroko otwartymi oczami).

REBE (spojrzał na nią przelotnie. Klęka).

KOMENDANT (dobrodusznie): O tak, widzisz. Ja jestem delikatny człowiek. Mógłbym cię zabić i zmusić do czego chcę. Są tutaj takie majstry, że zmuszają człowieka, żeby jadł własny kał i żeby ojciec wieszał syna. Cóż — prości podoficerowie, z nudów wymyślają kawały. (Z niesmakiem). Ale ja jako komendant, muszę powiedzieć, że tego nie pochwalam. Wojna wojną, a kultura kulturą. No, więc masz tylko ukląknąć tutaj i powiedzieć: dziękuję.

REBE (milczy — nie dosłyszał).

KOMENDANT (grzecznie): Mów.

REBE (oprzytomniał): Dziękuję.

KOMENDANT: ...że moja córka...

REBE (sucho, wyraźnie): ...że moja córka...

KOMENDANT: ...będzie niemiecką...

REBE: ...będzie niemiecką...

KOMENDANT: ...prostytutką.

REBE: ...prostytutką.

KOMENDANT: Dobrze. No, to już wszystko. (Do więźniów). Słyszeliście, jak to wasz święty rebe powiedział? On jest dobry ojciec. On waszych dzieci nie umiał uratować, ale swoje uratował. (Wchodzi dozorca, wszyscy na niego patrzą). No, cóż tam, Maks? Gotowe.

DOZORCA: Gotowe. Wychodzić! (Wypędza słaniających się ze strachu więźniów. Rebe stoi na boku i gotuje się też do wyjścia).

KOMENDANT: Słyszałeś, rebe? Czemu ich nie pobłogosławisz jak tamtych? Przecież to już koniec. Kto im doda siły jak nie ty? Kto zrobi, żeby się trochę mniej bali? To był wielki cud, rebe.

(Rebe milczy, patrzy w ziemię, więźniowie wychodzą).

KOMENDANT (zmiana tonu — żywo, z ubolewaniem): I pomyśleć, że to przecież na próżno. Ona i tak —

REBE (pod wpływem jego tonu drgnął, podniósł oczy. Sura także).

KOMENDANT: ...jutro po wesołej nocy...

REBE (patrzy na niego. Twarz jego robi się straszna — ale opanowuje się): ...Ona?

KOMENDANT (kiwa głową jakby chciał wyrazić, że to jest przykre, ale nie zależy od niego): Niestety, mój drogi. Pójdzie tam, gdzie wszyscy. (Patrzy mu w oczy i dodaje zwolna): To był żart.

SURA (chwilę nie rozumie, potem krzyczy rozdzierająco): Ja chcę żyć! Ja chcę żyć! Ja chcę... (Urywa, chwyta się za włosy i kołysze się miarowo jak obłąkana).

REBE (robi krok ku komendantowi. Chwila milczenia, patrzą sobie w oczy. Rebe mówi wreszcie, ze zgrozą i mistycznym niemal lękiem): Ty... nie człowiek.

KOMENDANT: Tak. My obaj nie ludzie. Ty — już tylko strzęp, a ja... To za mądre dla ciebie, Żydzie, ale, czy nie podejrzewasz w tej chwili, że ja jestem może — Pan Bóg? He, he. (Nagle urywa. Mówi krótko, sucho, tonem rozkazu): No, Maks — kończ z nimi. Dość tej zabawy.

(Gdy więźniowie w milczeniu wychodzą, on stoi bez ruchu, patrząc ponuro na przechodzących).

*) Fragment dramatu.

JAN KOTT

Generałowie gwardii i legenda napoleońska

Słusznie za jedną z najwspanialszych kart stendhalowskich uznany został obraz bitwy pod Waterloo w „Pustelni parmeńskiej". Niedawno jeden z uczonych rosyjskich udowadniał, jak bardzo pod jego wpływem znajdował się Tołstoj, kreśląc batalistyczne sceny „Wojny i pokoju". Otóż warto przypomnieć, że opis przeżyć Fabrycego pod Waterloo był pierwszym i na długie lata jedynym w historii literatury wielkim realistycznym obrazem bitwy napoleońskiej. Opowiadają, że Balzac po przeczytaniu tych kilkunastu stron zapłakał i skarżył się, że przez całe życie marzył, by napisać coś podobnego. Jedyny Stendhal bowiem uwolnił się od mitologii napoleońskiej, którą od Bérangera poprzez Victora Hugo po Gąsiorowskiego powtarzać będą wiernie niezliczeni pisarze w tysiącach odbitek. Znamy na pamięć formujące się spokojnie jak na paradzie czworoboki gwardii, bohaterskich szwoleżerów, którzy pod gradem kul szarżują na nieprzyjacielskie baterie, i figurkę „małego kaprala", który w ogromnym pierogu obserwuje ze wzgórza przez lornetę ruchy wojsk. Stendhal dał obraz bitwy, odartej z legendy; bitwy, w której ponad wszystko inne góruje doznanie zupełnego chaosu, odejmujące jednostce jakąkolwiek możność świadomego działania. I, niemal jak w powieści pacyfistycznej, która powstała po tamtej wojnie, Stendhal degraduje indywidualne bohaterstwo do przypadkowego zbiegu przyjaznych okoliczności.

Jeszcze ciekawsze są zapiski i wspomnienia Stendhala z kampanii pruskiej i rosyjskiej. Od roku 1806 Stendhal jako intendent a potem audytor towarzyszył Wielkiej Armii. W dniu pożaru Moskwy zapisuje w „Dzienniku": „Aby się tym rozkoszować, trzeba tam być samemu, albo też w towarzystwie ludzi cywilizowanych. Dla mnie kampanię rosyjską zepsuło to, że odbywałem ją z ludźmi, którzy potrafiliby pomniejszyć Colosseum i zatokę Neapolitańską..." Było by błędne doszukiwać się w tym zdaniu jedynie uczuć wytwornego dyletanta i amatora przygód. Bo oto gdzie indziej czytamy: „Ów generał, którego widywałem u hrabiny Daru, był to jeden z najtępszych rębajłów gwardii cesarskiej — to wiele powiedziane. Miał akcent prowansalski i palił się zwłaszcza do tego, aby rąbać Francuzów wrogich człowiekowi, który mu dawał żreć. Tacy ludzie stali się dla mnie czymś tak nienawistnym, że w wieczór po bitwie pod Moskwą, widząc o kilka kroków szczątki paru generałów gwardii, mimo woli rzekłem: „Paru chamów mniej" — odezwanie, które omal mnie nie zgubiło i które robiło wrażenie nieludzkości". Jak na intendenta Wielkiej Armii, który chwalił się, że jedyny dostarczył furażu dla koni i żywności dla ludzi po klęsce pod Berezyną, nie jest to słabo powiedziane. To jeszcze nie wszystko, bo oto o parę stron dalej czytamy, jak bardzo gardził Stendhal nawet i odwagą. Pamiętajmy, że kult odwagi był fundamentem bonapartowskiego wyznania wiary: „Jadłem czasem obiad z generałem Filipem Ségur przy służbowym stole cesarza. Wówczas Filip mówił tylko o swoich trzynastu ranach, bo to bydlę jest odważne". A przecież pamiętamy dobrze czar legendy napoleońskiej, który promieniuje z każdej niemal karty „Pustelni" i „Czerwonego i czarnego": „Za czasów cesarstwa — mówi Matylda de la Mole — cała ta złota młodzież widziała lub spełniała czyny, które naprawdę miały coś wielkiego... Brać udział w prawdziwej bitwie, bitwie napoleońskiej, gdzie padało dziesięć tysięcy ludzi, to dowody odwagi..."

Któryż Stendhal mówił prawdę? Bo oto po „Wielkości, jakież twe imię?" w „Czerwonym i czarnym", czytamy w „Pamiętniku egotysty": „Ten plugawy Filip de Ségur posłużył mi za wzór charakteru, którym najbardziej brzydzę się w całym Paryżu: ministerial wierny honorowi we wszystkim z wyjątkiem momentów stanowczych decyzji". I dalej zdanie, które wydaje się, że równie dobrze mogłoby wyjść spod pióra Prousta: „Hrabia de Ségur, wielki mistrz ceremonii w Saint-Cloud w 1811, kiedy tam byłem, gryzł się śmiertelnie, że nie jest księciem. W jego oczach to było więcej niż nieszczęście, to była **niewłaściwość**".

Kim był Stendhal? Spóźnionym jakobinem, który nienawidził Napoleona za przywrócenie tandety monarchicznej i umożliwienie powrotu emigrantom? Oficerem Wielkiej Armii, którego usługi odrzuciła Restauracja i który marzył ciągle o zawrotnej karierze, jaką przynieść mogła służba pod cesarzem? Liberałem, którego odstręczył tryumf reakcji arystokratyczno-klerykalnej? Kosmopolitą duchowym, który wolał Mediolan od Paryża i nad wszystko w świecie cenił dobry poncz, towarzystwo paru pięknych i pozbawionych pruderii kobiet i inteligentną rozmowę o malarstwie i muzyce? Ojca, bogatego mieszczanina z Grenoble, nienawidził Stendhal za sknerstwo i rojalizm, dziadka, starego wolterianina lekceważył za naiwność, gardził swoimi kuzynami Daru, którzy należeli do arystokracji napoleońskiej, za płaskość, głupotę i pychę, przyjaciół swoich wśród włoskich „karbonarów" uważał za ludzi „najbardziej poetycznych i niedorzecznych", jacy kiedykolwiek istnieli, a znowu liberałów francuskich za „bardzo czcigodnych dla swej nieskazitelnej cnoty, ale poza tym niezdolnych zrozumieć, że 2×2 jest 4".

W notatkach, które miały być odczytane po śmierci, napisał Stendhal, że „kochał Cimarosę, Szekspira, Mozarta, Corregia. Szanował jednego człowieka — Napoleona". Ale co z tego, kiedy w tym samym skrypcie, o parę wierszy dalej, wymienia Stendhal jednym tchem wśród faktów, jakie wywarły największy wpływ na jego życie, poznanie Byrona i księcia de Frioul. Kto to był książę de Frioul? Stendhal może służyć za przykład, jak niewiele znajomość biografii pomóc może do zrozumienia dzieł i ideologii pisarza. Bo i cóż stąd, że paru bibliofilów znalazło karteczkę, w której płaszczy się Stendhal przed Beugnotem, zausznikiem Talleyranda w r. 1815, tuż po upadku Napoleona. Entuzjaści ze Stendhal-Clubu odpowiedzieli na to wydrukowaniem świeżo odnalezionego raportu generalnego dyrektora policji w Mediolanie z r. 1828. Oto fragment z zachowaniem całego stylu urzędowego: „Kończąc, pozwalam sobie uniżenie dorzucić, że Beyle podczas swojego wieloletniego pobytu w Mediolanie dał się poznać jako niereligijny, niemoralny i wysoce niebezpieczny przeciwnik porządku państwowego. W tym stanie rzeczy jest niezrozumiałe, że nasi poprzednicy mogli go tolerować podczas tylu lat, w niczym mu nie przeszkadzając, zwłaszcza, że jest wyżej zapodane, że utrzymywał najbardziej przyjazne stosunki z naszymi liberałami o jak najgorszej opinii".

Porzućmy chaos faktów biograficznych, których zawsze można znaleźć w bród dla poparcia każdej tezy. Spróbujmy z innej strony popatrzeć na Stendhala. „Ludzie — pisze Proust — którzy nie tylko potrafią dobrze mówić o pewnych cnotach, ale odczuwają ich urok i cudownie je rozumieją, którzy w swych pamiętnikach potrafią odtworzyć ich wierny obraz, pochodzą co prawda z milczącej, surowej i nie znającej sztuki generacji, która te cnoty praktykowała, ale sami nie byli nigdy jej częścią... Dzieło bowiem nawet i wtedy, kiedy dotyka przedmiotów, nie mających nic wspólnego z intelektem, jest jeszcze dziełem inteligencji, i aby w książce czy rozmowie dać doskonałe wrażenie frywolności, posiadać trzeba pewną dozę powagi, do której nie jest zdolna osoba jedynie frywolna". Strawestujmy myśl Prousta. Ludzie czynu, fanatycy energii, obłąkańcy wielkich namiętności nie potrafią mówić i pisać o czynie, energii, namiętnościach. Ten kto w książkach w sposób doskonały zaraża innych entuzjazmem, budzi kult energii i odwagi, pochodzi co prawda zazwyczaj z pokolenia gwałtowników czynu, lecz sam do niego nigdy nie należy. Aby być wielkim apostołem namiętności, posiadać trzeba dar analizy i jasności, który pozwala stwarzać obrazy godne wielkich uczuć, ale uniemożliwia ich przeżywanie. Stendhal, który z armią napoleońską przeszedł Europę, wychowany był na lekturze klasyków.

Jeżeli stawiamy sobie pytanie, jaki styl duchowy i jakie dążenia społeczne wyrażała twórczość Stendhala, pamiętać musimy, że zarówno romantyczny kult energii, mocy i czynu, jak i racjonalistyczna analiza pojęć i uczuć były zawsze zarazem politycznym wyznaniem wiary. Napoleon narzucił potrzebę wielkości, legenda napoleońska była nie tylko legendą wojskową. „Napoleon i pokolenie pisarzy z roku 1790" — książka ta czeka jeszcze na swego autora. Chateaubriand sławą literacką chciał zaćmić Napoleona. W pamiętnikach swoich przesunął o rok datę urodzenia, aby wypadła w tym samym roku co Napoleona. Być wielkim — nie znaczyło nic. Trzeba było dorównać Napoleonowi. Napoleon budził entuzjazm i znał jego wartość. Do końca życia nienawidził pani de Staël, która w żadnym z listów nie splamiła się wymienieniem imienia Uzurpatora i pisała o Cesarzu Francuzów per pogardliwe „Buonaparte". Ze wszystkich przeciwników obawiał się Napoleon najbardziej zimnej pogardy „incroyable'ów". Dziedzice z Faubourg Saint-Germain, „les incroyables", których wizerunki oglądać można dzisiaj na starych sztychach, w cylindrach, w szarych fraczkach, w kamizelkach, opatrzonych koronkowym żabotem, z niebieskimi parasolkami o zakrzywionej złotej gałce, spacerowali po ogrodzie Tuilleryj, a na wieść o wszystkich zwycięstwach Napoleona odpowiadali spokojnie: „c'est incroyable"! „To nie do wiary!" Ich strojne towarzyszki w kapelusikach „un petit rien", przypominających do złudzenia modę z ostatniej wiosny przed wojną, miały na wszystkie pytania równie niezmienną odpowiedź: „To zachwycające! C'est merveilleux!" I dlatego nazywano je „les merveilleuses".

Kult czynu, energii i mocy, przetłumaczony na język kategorii politycznych, oznaczał w trzech różnych okresach historycznych: bonapartyzm, karbonaryzm, faszyzm. Stendhal, wielki nauczyciel energii, Stendhal — twórca postaci Fabrycego i Juliana Sorela, został nauczycielem i mistrzem „Młodych Włoch" Manziniego. Wrogiem ich musiał być Stendhal — cynik, analityk i szyderca, Stendhal, który zostawił taki oto portret Lafayette'a: „Zrozumiałem także bez niczyjej wskazówki, że pan de Lafayette to jest po prostu bohater z Plutarcha. Żył z dnia na dzień bez zbytniego nakładu inteligencji, spełniając jak Epaminondas wielki czyn, który się nastręczył. Na razie, mimo swego wieku (urodzony w 1757, jak jego towarzysz gry w piłkę, Karol X), jedynie zajęty był miętoszeniem spódniczek jakiejś ładnej służącej (vulgo obmacywaniem tejże) i to często i nie żenując się zbytnio. Oczekując wielkich czynów, które nie nadarzają się co dzień, oraz sposobności obmacywania młodych kobiet, która nastręcza się tylko po północy przy wyjściu, pan de Lafayette ucieleśniał bez zbytniej elegancji komunał Gwardii Narodowej. Ten rząd jest dobry i tylko ten, który zapewnia obywatelowi bezpieczeństwo na gościńcu, równość przed sędzią, i sędziego dostatecznie światłego, rzetelną monetę, znośne drogi, należytą opiekę za granicą. W tym pojęciu rzecz nie jest zbyt skomplikowana". Fragment ten wyraża nie tylko postawę rozczarowanego jakobina, któremu pozostało jedynie szyderstwo i dla którego na niebie i na ziemi nie istnieją rzeczy święte. Język racjonalistów, język naturalnych i powszechnych praw rozumu, był również wyznaniem politycznym. Kiedy umilkli jakobini, przejęły go liberalne salony mieszczańskie, upatrujące w Napoleonie nowego Cezara na gruzach republiki. Taki był choćby ów salon Destutta de Tracy, opisany przez Stendhala, gdzie gromadzili się ostatni uczniowie encyklopedystów, anglomani, admiratorzy Locke'a i Woltera.

Po upadku Napoleona rządy „ancien régime'u" postanowiły wytępić zdolność do entuzjazmu. „Les incroyables" zwyciężyli. Młodych entuzjastów policja wciągała na listę osób politycznie podejrzanych; przechowywali zakazaną tradycję. „Strzeż się tego chłopca i tej energii — czytamy o Julianie Sorelu w „Czerwonym i czarnym" — skoro powtórzy się rewolucja, pośle nas wszystkich na gilotynę... W epoce, kiedy wszelka energia zamarła, jego energia budzi niepokój". Dewizą Świętego Przymierza stało się „Nil admirari" Horacego. „Przede wszystkim, nie miejcie zapału!" — takie było najważniejsze przykazanie Talleyranda dla młodych ludzi, wstępujących na służbę państwową. „Pierwszą zaletą młodego człowieka — uczy Fabrycego w „Pustelni parmeńskiej" hrabia Moska zasad mądrości politycznej — obecnie, to znaczy przez jeszcze jakichś pięćdziesiąt lat, dopóki wszyscy w strachu, a religia nie zostanie z powrotem ustalona, jest być niezdolnym do entuzjazmu i nie mieć inteligencji".

Był to zarazem czas gwałtownej batalii romantyków z klasykami. Językiem osiemnastowiecznej analizy przemawiali klasycy. I stąd, aby trafnie określić jego wymowę polityczną, odpowiedzieć trzeba wpierw na pytanie, jakie dążenia społeczne wyrażał w owych latach romantyzm? Nie jest to łatwe. Ruch romantyczny, najszerzej pojęty, był niewątpliwie wyrazem buntu wobec ograniczenia swobody i bujności życia, wobec przemiany wszelkich wartości duchowych na towar, mający określoną cenę na rynku, jaki stopniowo lecz nieuchronnie przynosiła gospodarka kapitalistyczna. Romantyczna krytyka świata, którym rządzi pieniądz, padała zarówno z „okopów św. Trójcy", jak i z klubów, grupujących radykalną inteligencję drobnomieszczańską. W romantyzmie splatały się ze sobą ciasno tendencje postępowe i reakcyjne. Posłuchajmy chociażby Balzaka: „Zjawiasz się w momencie zaciętej walki — poucza Lucjana w „Straconych złudzeniach" Stefan Lousteau — trzeba się szybko decydować. Literatura rozpada się na dwa obozy. Rojaliści są romantykami, liberali — klasykami. Rozbieżność zapatrywań literackich łączy się z rozbieżnością przekonań politycznych: stąd wojna na wszelki rodzaj broni, potoki atramentu, docinki, wyostrzone jak stal, potwarze, zatruta przydomki, między sławami w zalążku a sławami na schyłku. Dziwnym kaprysem okoliczności, romantyczni rojaliści domagają się wolności literackiej i uprzątnięcia praw, określających przyjęte formy w naszej literaturze; podczas gdy liberali chcą utrzymać trzy jedności, tok aleksandrynu i tematy klasyczne. Opinie literackie są tedy w każdym z obozów w niezgodzie z opiniami politycznymi".

Tak było, pamiętajmy, tylko do roku 1830. Romantycy stanęli po stronie rewolucji lipcowej. Przygarnęła ich łaskawie mieszczańska monarchia Ludwika Filipa. Lamartine, do niedawna pupil rojalistycznych salonów, zostaje deputowanym. Ślubne gody romantyzmu ze zwycięskim mieszczaństwem nie trwały jednak długo. Po roku 1830 ministrowie orleańscy mogą już otwarcie bronić interesów wielkich bankierów, jacy rządzą Francją. I oto językiem zwycięskiej reakcji stać się musi nieuchronnie język „zdrowego rozsądku", „naturalnych praw" i „logiki faktów", język klasycznego liberalizmu. W romantyzmie spierać się będzie jeszcze długo nurt postępowy i reakcyjny, lecz jego język stanie się odtąd na lat dwadzieścia językiem wszystkich ruchów demokratyczno-rewolucyjnych. Trudno o lepszy przykład wymowy politycznej stylu romantycznego, jak powołanie w r. 1848 przez rewolucję lutową Lamartine'a na prezydenta Drugiej Republiki. To nie Lamartine'a, ale styl romantyczny powołał rewolucyjny Paryż na prezydenta republiki. I nic dziwnego, że w tym samym roku 1848, kiedy Mickiewicz krzyczał do papieża, że „duch święty jest dzisiaj w bluzach paryskiego ludu", dyrektorzy banków, administratorzy loterii narodowej i naczelnicy więzień powoływali się na Woltera i Monteskiusza.

Dwunastoletni Stendhal tańczył z radości na wieść o straceniu Ludwika Kapeta. Posiew legendy napoleońskiej, bijący z każdej karty „Czerwonego i czarnego" oraz „Pustelni" i szyderstwa z generałów gwardii — oto przykłady dwóch stylów, dwóch współistniejących elementów w twórczości Stendhala. Były one wyrazem koniecznych sprzeczności w ideologii zapóźnionego i rozczarowanego jakobina, który w Napoleonie widział zdrajcę ideałów rewolucji, a w epopei napoleońskiej ostatni przejaw energii heroicznego okresu mieszczaństwa.

WITOLD WIRPSZA

Nad egzemplarzem „Fausta"
znalezionym w opuszczonym niemieckim mieszkaniu

Tom „Fausta"! Tom czasu, który przepływa
I który pachnie wiosną, Heleną i Helladą.
Suną przed nami cienie na zroszonych szybach,
Co nas wczoraj wzruszało, dziś się na uśmiech rozkłada
I szerokie, rytmiczne, ongiś spiżowe wiersze
Dzisiaj dla nas zegarem, przypomnieniem, świerszczem.

Mieszczańską, spękaną młodość Germanii
Ktoś w starość poezji, jak w śniedź pieniądza zamienił.
Ta drobna Gretchen — to wielka Maria z Magdali,
Ten wielki Faust — to mały doktor sumienia.
W lirycznych rozważaniach myśl się twoja zatrzyma,
Gdy zjawi się Eros kosmiczny, jak deus ex machina.

Nikt nocą Walpurgii świata nie zdoła skruszyć,
Ani kobiecą modlitwą, ni świętych obcowaniem.
Dźwięk Mefistofelesa, jak dźwięk fujarki pastuszej,
Poraniony przez świerki, za lasem świerkowym zostanie
I będzie już tylko w przyszłości — jeśli dobrze odgadłem —
Czarcim, pozieleniałym i wykrzywionym zwierciadłem.

Tak być może — być miało. I dzisiaj, gdy w marszu spoglądam
Wstecz na płonącą wioskę — chciałbym się w drodze zatrzymać.
Homunculus lubi sitowie. W kielichu doktora Fausta
Pluszcze krew niby sok, wylany na żółtą glinę.
Wiosna karmi wojnę jasno-zieloną piersią.
Goethe się nie przebudzi. I nie napisze już wierszy.

Muzyka

Powiedz, jeśli otwierasz wygiętym w oboju kluczem
Muszle i perły i pięści wzburzone,
Czy tobą, muzyko, zawładnę, jak żoną,
Czy się w białej tonacji lotu ptaka nauczę?

Jeżeli dłonią szorstką odwrócę
Przestrzeń przede mną, jak płótno ikony,
Czy tryśnie żywicą czas wyzwolony,
Czy odpłynie w roślinach uwięziony smutek?

Sfora psów pyskami suchymi przecina
Mgłę, rosę, poranek. Wystrzały drzemią w trzcinach
Stulone jak wiatr, jak nieruchome kopyta.

Słońce pęka. Czerwony płaszcz spływa w jezioro,
Pejzaż się zaokrągla i brzozy stają otworem,
A trębacz złoto rozrzuca.
W trzcinach mignęła muzyka.

KRZYSZTOF RADZIWIŁŁ

Od faszyzmu do demokracji poprzez obozy koncentracyjne

Słów „faszyzm" i „demokracja" ominąć się nie da, jeżeli się porusza sprawy najważniejsze. Ażeby jednak słowa te nie traciły stopniowo swojej najistotniejszej treści, należy je dokładnie obejrzeć i zważyć przed użyciem. Zwierciadłem, w którym odbijają się oba te pojęcia z całą wyrazistością, były dla każdego myślącego człowieka przeżycia w obozach koncentracyjnych. Często kontury odbicia w tafli lustra dają przy tym wyolbrzymioną, czasem spaczoną, ale zawsze bardziej syntetyczną wizję niż sama rzeczywistość, której gołą prawdę rozumie się potem lepiej. Początkowo zamiast „faszyzm" chciałem użyć słowa „nihilizm", ale odradzono mi to, przypominając, że nihilizm dla przeciętnego polskiego inteligenta oznacza pewną krańcową odmianę rosyjskiego rewolucjonizmu, często opisywaną przez Dostojewskiego. Ale i Rauschning, nawrócony odstępca hitleryzmu, były wódz hitlerowców gdańskich, znający od wewnątrz swoją byłą partię, nazwał w swej książce rewolucję hitlerowską „Die Revolution des Nihilismus" i miał rację, gdyż właśnie to, że ta pseudorewolucja stojąca na fałszu, jak każdy samozwaniec udający kogoś innego, większego od siebie, nie była wcale rewolucją, ale właśnie nihilizmem, tzn. zburzeniem wszystkiego tak, żeby już nic nie zostało; w parodii rewolucyjnej hitleryzmu nie było nic nowego, jak w każdym faszyzmie, cezaryzmie, bonapartyzmie, w przeciwieństwie do prawdziwych twórczych rewolucji, jak francuska czy rosyjska. Była często ta sama metoda i to z najkrwawszych okresów, których nie brak w prawdziwych rewolucjach, ale nie było usprawiedliwiającej te krwawe okresy treści. Byli ludzie w faszyzmie hitlerowskim równie bezwzględni jak Robespierre czy Dzierżyński, ale nie było nowych prawd i nowych wartości, którym bezwzględność ta z całym zaparciem się siebie służyła. I Robespierre i Dzierżyński mogli być ascetami, a opasły Goering, czy nawet chorowity, a więc wstrzemięźliwy z musu Hitler, nimi nie byli, bo być nie mogli, nie mieli tego poczucia wewnętrznej prawdy, które dać może tylko bezwzględna wiara w postęp ludzkości.

Ale czyż tak liczne samobójstwa w ostatecznej chwili klęski nie świadczą o czymś innym? Przypominam, że ciała rzekomego samobójcy Hitlera nie znaleziono dotąd, a sprawę samobójstwa na tle przeżyć obozowych chciałbym od razu poruszyć jako jeden z tak często spotykanych przejawów obozowych okropności. Pokusa samobójstwa jest najprostszą reakcją umęczonego człowieka na przewyższającą jego siły męczarnię. Samobójstwa obozowe bywają różne. Albo rzuca się na oślep na drut kolczasty z prądem elektrycznym, albo skacze się w przepaść kamieniołomów, albo powoli z papierosem w zębach zbliża się w kierunku rozstawionych posterunków, które idą samobójcy na rękę uważając to za ucieczkę i nie skąpią kuli dla uciekającego. Znałem takiego, który przestał po prostu jeść i oddawał całe swoje jedzenie innym, którzy będąc sami głodni jedzenie to przyjmowali, ażeby przeżyć, a na „głodówkę" w przeciwieństwie do dawnych więzień, władze hitlerowskie chętnie pozwalały. Ja osobiście lepiej rozumiem tego robotnika leśnego z Podlasia, aresztowanego za przechowywanie partyzantów z lasu, który był skazany na śmierć głodową, bo byli i tacy uznani za niezdatnych do pracy, w karnej kompanii w Grossrosen, którym przestawano dawać jeść, ponieważ już pracować nie mogli. Ale mój podlasiak chciał żyć, jadł okruszyny, zgniłe odpadki i drzazgi z podłogi i jakoś o nim zapomnieli, ponieważ długo nie umierał. (Normalnie z głodu człowiek wycieńczony przez życie obozowe umiera po 9 dniach niejedzenia. Widziałem takich śmierci kilkanaście). Podlasiak nie umierał i któregoś dnia poszedł znów do roboty i choć potem straciłem go z oczu, na pewno i dzisiaj żyje, żyje, bo miał gdzieś pod Siedlcami dzieci, dla których czuł się potrzebny, a więc nihilistą nie był.

Nie można jednak w czambuł potępiać wszystkich samobójców obozowych, jak uczynił kiedyś z właściwą sobie kategorycznością mój kolega z obozu, komsomolec z obciętymi oboma nogami, były student nauk ścisłych z Charkowa, mówiąc: „Sowiecki człowiek samobójstwa nie popełnia, bo to oznacza niewiarę w przyszłość, właściwą burżujom z epoki schyłkowego kapitalizmu — nowożytny człowiek powinien wierzyć w życie". Ale, żeby w to życie wierzyć, trzeba nie mistycznej ideowej podbudowy o krwi i glebie, jako praźródłach przyszłości, bez dokładnego sformułowania nowego sposobu życia, czego brak w każdym cezarystycznym i hitlerowskim faszyzmie, potrzeba realnego ucieleśnienia się nowych kształtów, które usprawiedliwić mogą najkrwawszą nawet rzeczywistą rewolucję. Dlatego bohaterstwo Nibelungów jadących ponuro na świadomie odczuwaną zgubę na dwór mściwej Krymhildy, jest bohaterstwem tragicznym i beznadziejnym, dlatego Goebbels popełnił samobójstwo, czując tak charakterystyczny dla germańskiej mitologii zmierzch bogów.

Najwięcej samobójstw w obozie było stosunkowo wśród byłych esesowców, których przecie w obozach nie brakowało, osadzonych tam za jakieś przewiny, partyjne czy kryminalne. Mój kolega komsomolec z obciętymi obiema nogami wierzył w życie i samobójstwem się brzydził. Ja powtarzałem sobie w obronie przed pokusami samobójczymi jak akt strzelisty, stare łacińskie stoickie powiedzenie o cierpieniu: „Si gravis — brevis, si longus — levis" i przetrwałem. Jeżeli cierpienie jest ciężkie — to będzie krótkie, jeżeli długie — to znaczy, że właściwie jest ono do wytrzymania. Samobójstwo Goebbelsa i innych jemu podobnych, jest dla mnie dowodem, że równanie: „faszyzm" równa się „nihilizm" jest słuszne, a obozowe przeżycia prawdę tę pogłębiają.

Teraz o drugim słowie, którego tak często używamy, ażeby nie powiedzieć nadużywamy w Polsce, o słowie „demokracja". Znaczy ona dosłownie „ludowładztwo", a więc wiarę w lud, wiarę w to, że lud władzę sprawować potrafi, w rezultacie po prostu wiarę w człowieka. Przy tym jest dość obojętne, czy jest to wiara w człowieka z natury dobrego, jak głosił to Jean Jacques Rousseau, czy też człowieka skażonego według dogmatu chrześcijańskiego przez grzech pierworodny, a dopiero odkupionego przez objawienie religijne. Podział nie idzie tu po linii demarkacyjnej pomiędzy ludźmi niereligijnymi a wierzącymi w dogmaty wiary, gdyż w człowieka może wierzyć zarówno bezwyznaniowiec, jak i kochający bliźniego chrześcijanin. Linia podziału przebiega inaczej pomiędzy ludźmi wierzącymi i niewierzącymi w postęp ludzkości, dzieląc ich na zgorzkniałych reakcjonistów i radosnych, przygotowujących lepsze jutro — postępowców.

Wśród rozrzuconych ubrań i bielizny więźniów przybyłych na Majdanek z warszawskiego ghetta, znalazłem dwie książki: Nietzschego „Poza dobrem i złem" i „Etykę" — jakże w gruncie rzeczy głęboko religijnego mimo prześladowania przez kler starozakonny — Spinozy. Poruszone w tych książkach sprawy przypomniały mi chwile, kiedy je czytałem po raz pierwszy w 1917 roku w Moskwie, ale czytanie ich na tle obozu nadało im treść zupełnie inną. Nietzsche jest przecie Janem Chrzcicielem, równającym drogę dla Hitlera. Bez Spinozy nie było by późniejszych prób uformowania w jeden monolit absolutnej Prawdy aż od zwycięskiego dziś materialistycznego pojmowania dziejów włącznie. Jedni ludzie „pełzają" — jak powiedział to Nietzsche — „wokoło grobu umarłego Boga", nie wierząc w Boga tego ucieleśnienie w postępie, innym wydaje się, że odrzucają idealizm dla trzeźwego materializmu, ale w gruncie rzeczy fanatycznie wierzą w człowieka i kochają go, nazywając go „bliźnim" albo „towarzyszem".

Pierwszy raz zostałem pobity za to, że widząc jak stary wiedeński Żyd nosił kamień ponad jego siły, chciałem mu pomóc, ale odruch ten, zrozumiały dla każdego nie zarażonego hitlerowskimi teoriami człowieka, został uznany za brak karności, tym gorszy, że poniżający butę aryjską wobec Żyda. Później mogliśmy pomagać sobie między kolegami tylko w sposób ukryty, ale pamiętam pewnego czeskiego harcerza, który mimo to naiwnie chwalił się zawsze w kamieniołomie, że dziś udało mu się spełnić harcerski obowiązek oddania komuś choćby najmniejszej przysługi, i bardzo ubolewał, gdy dozorca w oddaniu tej przysługi któregoś dnia mu czynnie przeszkodził. W ogóle harcerstwo, do którego nigdy nie należałem, w obozie wykazało tyle dodatnich cech, że czuję się w obowiązku to tutaj zaznaczyć. Zwłaszcza w takich obozach, jak Majdanek, gdzie obok masowych mordów i okropności było niestety miejsce na pijaństwo, spekulację i wszelkiego rodzaju łajdactwa, wzmocniona przez dziecinnie wyglądające przykazania harcerskie samodyscyplina wyróżniała wszędzie skautów jako ludzi pogodniejszych, więc lepszych. Świadomie wyliczam te cechy w takiej kolejności, gdyż pogoda w najcięższych przejściach nie jest skutkiem cnoty, ale jej przyczyną, jako radosna wiara w ludzkość.

Chodzi o to, ażeby móc wyłuskać z obozowych okropności, graniczących w swoich makabrycznych obrazach z infernem Dantego, ale i z groteską Amadeusza Hoffmanna, tę najistotniejszą treść, tę wiarę w człowieka, który oczywiście jeżeli przyszedł do obozu zły, najczęściej opuszcza obóz jeszcze gorszy, pozbywszy się wszelkich hamulców obyczajności, ale jeżeli człowiek jest dobry, to nawarstwienie egoizmu małomieszczańskiego obóz z niego ściera, jak wapno ze wspaniałego fresku i okazuje się czynna postawa pomocy innym, nawet gdyby to miało kosztować życie. Marek Aureliusz powiedział kiedyś, że śmierć to po prostu ostatnie zadanie, które trzeba rozwiązać przyzwoicie, ale najdziwniejsze jest to, że tylu ludzi, w ogóle nie urodzonych męczenników, przeciwnie, bardzo przyziemnych zjadaczy chleba, potrafiło w obozach rozwiązać to ostatnie zadanie własnej śmierci właśnie nie z nadludzkim bohaterstwem, ale po prostu godnie i przyzwoicie.

Zdarzyło się tak, że leżałem szereg miesięcy ze złamaną nogą w gipsie w baraku, dokąd przywożono z eksponowanych komend więźniów, których skazano na śmierć według brzmienia wyroku na rozstrzelanie lub powieszenie, a właściwie na zastrzyk i spalenie w krematorium. Wiedzieli oni zawsze na co przyjechali, czasami musieli jednak czekać, aż nazbiera się dostateczna ilość 10-u czy 15-u, ażeby komendantowi chciało się być obecnym przy wykonaniu wyroku śmierci. Byli to ludzie przeróżni, pomagałem im jak mogłem, z jednymi odmawiałem pacierz, z innymi mówiłem o Polsce, z innymi o lepszej przyszłości rewolucyjnej ludzkości, innym wreszcie opowiadałem dykteryjki lub rozmawiałem o zupełnie oderwanych sprawach, bo to także dobry sposób na przetrwanie ostatnich chwil dla skazańców. Ale ileż za to ja się od nich nauczyłem.

Nie zapomnę nigdy pewnego młodego Ślązaka, kierownika spółdzielni, który bardzo się śmierci bał, ale dwa dni oczekiwania przegadał ze mną o Hoene-Wrońskim; albo całej grupy skazanych na śmierć za zorganizowanie prawie że udanej, ucieczki ciężarowym autem z Brieg, z szoferem Polakiem na czele, posiadaczem drewnianego domku pod Wilnem, który po rozbrojeniu esesowca, w jego mundurze wiózł uciekinierów do Polski, — tak tęskniącego do brzegów Wilii, że prawie nie miał czasu na myślenie o zapadłym wyroku śmierci. Był też jeden młody wiciowiec spod Lublina, który deklamował mi „Pieśń o Jakubie Szeli". Ale byli i inni, nie intelektualiści; był ślusarz z Sosnowca, człowiek lubiący porządek, który opowiadając mi o swoich dzieciach w Zagłębiu, równocześnie cerował mi do ostatniej chwili wykonania na nim wyroku śmierci — moje więzienne łachy, których reparacji, przyznaję się, nigdy uskutecznić sam nie umiałem. Taka systematyczność w drobnych zajęciach była dla ślusarza z Sosnowca pomocą w spokojnym oczekiwaniu śmierci, nie żadnym znieczulającym haszyszem, którego nie potrzebował. Byli inni skazani na śmierć, którzy będąc głodni, po prostu jedli intensywnie to, co im pozostało z przysłanych paczek, a potem najadłszy się, umierali przyzwoicie i spokojnie.

Po zagadnieniu śmierci w obozie przychodzi kolej na zagadnienie cierpienia. Są dwa cyniczne powiedzenia francuskie o cierpieniu. Jedno, że moralnych cierpień każdy z chęcią przyjmie na siebie ile tylko wlezie, ale co do fizycznego bólu, to każdy woli, ażeby go w ogóle nie było; drugie, że człowiek ma zawsze dosyć sił, ażeby znieść cierpienie cudze. Przyznaję się ze wstydem, że w najgłębszej szczerości wydawały mi się te oba cyniczne sądy słusznymi. Ale obóz nauczył mnie, że w tych zdaniach jest bardzo mało prawdy. Rozumieli to doskonale wynalazcy obozowych utrapień i dlatego nie szczędząc tortur fizycznych, chcieli często przewyższać je moralnymi udręczeniami, które jak sól na jątrzącą się ranę zaogniają ją i podwajają jej bolesność. Ból fizyczny jest rzeczą straszną, ale jeżeli nie powoduje śmierci i omdlenia — do zniesienia. Najważniejsze jest przy tym to wewnętrzne zaciśnięcie zębów, pochodzące z poczucia, że się służy dobrej sprawie, że się już właściwie zwyciężyło; miałem to uczucie stale, poczynając od przyznania się Niemców do cofnięcia się spod Stalingradu — poczucie, że się ma rację. To samo dotyczy i sprawy głodu. Jeżeli jedzenia nie uważa się za szczytowy punkt dnia, ale po prostu za funkcję życiową, to głód wycieńcza i osłabia, zwłaszcza fatalnie odbija się na pamięci, nie łamie jednak człowieka o głębszych zainteresowaniach, nie koniecznie zresztą intelektualisty. Widziałem dwa wypadki ludożerstwa popełnione przez internowanych jeńców Tatarów. Jeden zjadł kawałek amputowanej poprzedniego dnia nogi swego kolegi, drugi (było to już podczas najgorszej głodówki końcowej w Mauthausen) wykrajał u zupełnie świeżego trupa wątrobę, zjadł część na surowo, a resztę owinął w gazetę i schował na jutro. Ale znałem też polskiego prokuratora z Wołynia, który kradł chleb kolegom, co jest najsurowiej, bo często śmiercią karane, nie przez esesowców, ale przez wewnętrzne prawo więźniów między sobą. Chodzi po prostu o odporność człowieka, osiąga się ją prawie zawsze nie przez znieczulenie nerwów, jako fizycznych przewodników bólu, ale przez kompensację fizycznych udręczeń stworzeniem sobie — duchowej egzaltacji. Dlatego nie zawsze najsilniejsi fizycznie znosili najlepiej tortury.

Hitleryzm zrozumiał to doskonale i dlatego obok bicia i mordowania stosował systematycznie zabijanie wewnętrznej odporności w człowieku. Temu służyć miało bicie się wzajemnie po twarzy przez więźniów na rozkaz dozorującego zbira, przymusowe wykonywanie egzekucji chłosty, tak zwanych „25" przez współwięźniów oraz cały system kar kolektywnych, gdzie każdy odpowiadał za przewiny innych, a więc już ze strachu kolegów swych nienawidził. Były i wyrafinowane moralne okrucieństwa. Pamiętam, jak w Buchenwaldzie przyszedł telegram do jednego kolegi Niemca. Było to w r. 1940, kiedy było może najsurowiej, ale kiedy panował jeszcze porządek, tak że poczta przychodziła regularnie. W telegramie była wiadomość o śmierci brata. Komendant łaskawie odczytał sam treść telegramu, bez podania jednak imienia nieboszczyka. Na nieśmiałe zapytanie więźnia: „ale który brat umarł, mam ich kilku", padła krótka a jakże nieludzka odpowiedź: „wszystko jedno, możesz sobie jednego z nich wybrać". I kolega mój nie dowiedział się nigdy, którego brata stracił.

Wszystkie te metody postępowania, zwłaszcza przemieszanie więźniów ideowych z kryminalnymi, były celowe. Chodziło o odczłowieczenie człowieka, ażeby zginął prędzej pozbywszy się wewnętrznej odporności, lub stał się powolnym narzędziem w tępieniu innych. W ten sposób powstawał cały skomplikowany, jak zawsze u Niemców, „bo po co ma być prosto, jeżeli i skomplikowanie można to samo wykonać" — i kompletny system od samego Führera poprzez wszystkich dostojników partyjnych, hierarchicznie przeróżnych, ale w gruncie rzeczy tak podobnych do siebie esesowców, aż do obozowych capo i przodowników w pracy, tzw. „Vorarbeiterów" włącznie. Wszyscy oni musieli być tępi, posłuszni, bezwzględni względem innych i o ile możności podli i odczłowieczeni wewnętrznie. Ażeby rządzić zwykłymi ludźmi nadczłowiek potrzebował podludzi i potrafił sobie stworzyć ich nieprzeliczone kadry.

Nawet pozorne ulgi i przyjemności dla więźniów służyły za pretekst do upodlenia. Niczego tak nie nienawidziliśmy jak przymusowych wazonów z kwiatami na stole, których przewrócenie lub niepodlanie dawało okazję do chłosty, czy też wielogodzinnego śpiewania „wesołych piosenek" na rozkaz. W Grossrosen w 1944 r. na gwiazdkę we wszystkich blokach, a więc i w karnej kompanii urządzono dla więźniów choinkę. Na przybranym świecidełkami drzewku wisiało jedno prawdziwe jabłko. Ponieważ ludzie byli bardzo głodni, zapowiedziano z góry, że za ukradzenie jabłka z tego nowożytnego drzewa wiadomości dobrego i złego, będzie straszliwa kara. W nocy naturalnie jabłko skradziono i kilku podejrzanych tak długo katowano nazajutrz, że wydano winowajcę, półidiotę. „Wykończono" go na śmierć. A tak częste wypadki prostytucji z głodu w obozach koeducacyjnych, jakim był np. Majdanek, gdzie w końcu pracowaliśmy razem z kobietami, nie mieszczącymi się już w przepełnionym Ravensbrücku, lub nagminna nieomal pederastia wykonywana najczęściej z początku gwałtem, a potem za kolorową koszulę, lepsze buty, lub fantazyjny szalik — były to rzeczy tolerowane i nieomal przez władze obozowe zalecane.

System polegał na odczłowieczeniu człowieka, na zabiciu jego godności, upokorzeniu go i zniszczeniu w nim wiary w siebie. Dlatego tępiono zarówno religię, jak i rewolucyjną ideologię, ba, nawet najzwyklejszą etykę przeciętnego porządnego człowieka i to tak wśród więźniów jak i wśród esesowców, gdyż łatwiej jest rządzić za pomocą rózg liktorskich lub po prostu obozowego bykowca ludźmi podłymi, niż ludźmi przedstawiającymi pewien ciężar gatunkowy. Do tego samopoczucia, że nie ma się właściwie żadnego znaczenia, przyczyniało się też to, że nie wolno się było skarżyć na najoczywistszą niesprawiedliwość, popełnioną przez capo lub przełożonego bloku, no i przede wszystkim całkowitą beznadziejność z powodu nieokreślonego żadnym terminem okresu internowania. Ludzie mogący być rzeczywiście niebezpieczni dla hitleryzmu na równi z zupełnie przypadkowymi, pochodzącymi z ulicznej łapanki więźniami byli skazani tak samo na bezterminowe siedzenie w obozie, a o zwolnieniu, które czasem zdarzało się równie nieoczekiwanie i niesprawiedliwie jak uwięzienie, myślało się tak nierealnie, jak się zwykle myśli o śmierci.

Po kilku latach w obozie nawet w widzeniach sennych nie mogłem wyobrazić siebie bez pasiaków, tego niwelującego ludzi i zmieniającego ich w numery stroju. Innym systemem upodlenia była w obozie praca, ta sama, co potrafi być największym szczęściem, jeżeli służy własnemu czy też świadomie odczuwanemu wspólnemu dobru. W obozie miała ona biblijny posmak kary za grzechy dla wypędzonych z raju. Była ona zawsze mozolna i jednostajna, często wymagana w tempie ponad siły, złośliwie rozdzielona nie według uzdolnień danego robotnika, ale na przekór, no i beznadziejna przez swą zupełną bezcelowość. Głównym celem gospodarki obozowej było dostarczanie trupów do krematorium, wszelka praca była tylko produktem ubocznym, jak wytłoki czy melasa w cukrowni. Praca ponad siły była metodą wykańczania, bezcelowość kilkunastogodzinnej codziennej pańszczyzny była najskuteczniejszym sposobem wewnętrznego otępienia. Tylko niewielu rzeczywiście zajętych w swoim fachu rzemieślników obozowych kochało swoją pracę dla pracy i stanowili oni dlatego pewnego rodzaju elitę.

To samo można powiedzieć i o lekarzach. Z początku pod komendą mundurowego lekarza-esesowca leczeniem chorych więźniów zajmowali się z reguły ćwierć-inteligenci, których głównym zadaniem było tępienie s-

mulantów. Z czasem brak lekarzy Niemców oddał lecznictwo obozowe prawie wyłącznie w ręce lekarzy więźniów. Ale ileż ci ludzie musieli przecierpieć wewnętrznych straszliwych dylematów, kiedy kazano im wbrew sumieniu robić zastrzyki — wyroki śmierci, lub wybierać do gazowania w komorze gazowej słabszych, a więc już nieużytecznych pacjentów. W ostatnich tygodniach w Mauthausen ze szpitala, w którym nas leżało stłoczonych po czterech na kojce (2 m na 75 cm), wybierano 200 dziennie z liczby 8000, a więc każdy mógł sobie obliczyć, że i na niego kolej przyjdzie. Wytworzyło to naturalnie wśród lekarzy pewne zobojętnienie na cierpienia ludzkie, ale możność działalności we własnym fachu utrzymywała ich na ogół na poziomie wyższym, niż zidiociałych w fizycznej pracy ponad siły innych, zwłaszcza nie przyzwyczajonych do niej, inteligentów. W ogóle praca w obozach koncentracyjnych nie miała nic wspólnego z melodramatycznym przykuciem do taczek u Grottgera, była ona prozaiczna, a odparzenia rąk od ostrych kamieni, lub nóg od dreptania w drewniakach tam i z powrotem, często gorzej bolały, niż otrzymywanie karnej chłosty.

Wróćmy teraz do sedna rzeczy. Obozowe przejścia uwydatniły mi pewne prawdy, które są bardzo proste i zrozumiałe, ale których ludzie z lat 1918—1939 jednak nie uważali za bezwzględne aksjomaty. A więc przede wszystkim, że tylko to, co jest głęboko ludzkie, jest dobre, nadczłowieczeństwo jest właściwie tylko podczłowieczeństwem ze znakiem odwróconym. Zło jest bezwzględnie złem i są rzeczy, których nie wolno robić nigdy, gdyż są one podłe, jak np. bicie człowieka przez człowieka, deprecjonujące jeszcze więcej tego, który bije, niż tego, który jest bity. Wszelkie kłamstwo, ba, nawet popełnianie czynów, do których bez kłamstwa przyznać się nie można, jest na pewno także złem. No i wreszcie to, że większą siłą i głębszą mądrością jest wola niż muskuły i przyzwoitość wewnętrzna niż tzw. „cwaniactwo".

Historiozoficznie ująłbym to samo w sposób następujący: po pierwszej wojnie światowej, zupełnie tak jak po wojnach napoleońskich nastąpiła smutna epoka rozczarowania po niespełnieniu obietnic rewolucji, jakiś ogólny niedosyt obudzonych nadziei i pożądań. W tej atmosferze zrodził się w początku XIX wieku demoniczny pesymizm byronistów, którzy w rewolucji francuskiej, przesłoniętej przez olbrzymią postać Bonapartego, widzieli tylko niedociągnięcia i okropności. Po pierwszej wojnie światowej narody, które pokonały Niemców, zaraziły się od nich, — jak zwycięzcy Hiszpanie od pokonanego Almanzora dżumą — beznadziejnością Spenglera, autora „Der Untergang des Abendlandes", najistotniejszej książki z tych czasów, stwierdzającej upadek kultury Zachodu, poczynając już od rewolucji francuskiej. Spengler prorokował schyłkowy etap cezaryzmów w skazanej według niego na śmierć Europie, dlatego, że nie wierzył w pozytywne zdobycze rewolucji rosyjskiej. Wprawdzie nie wszyscy się z tą książką godzili, ale pesymizm jej podświadomie udzielał się przeważającej części myślących ludzi. Żeby ta tragiczna beznadziejność w całej Europie z tych lat tak długo trwać mogła, trzeba było stojących poza zwykłą, ludzką etyką, bo poza granicą zła i dobra, niezliczonych dyktatorów i dyktatorków, cezarów i cezarków wszelkiego możliwego kalibru. Ażeby stworzyć odpowiednią atmosferę, literatura zaczęła gloryfikować Napoleona, ba, w końcu już nie pierwszego Cezara, ale okrutnika Tyberiusza. Pisano entuzjastyczne monografie nawet o tych, którym się nie udało, o Alcybiadesie, generale Boulanger, czy też generale Malet, notorycznym obłąkańcu, który gdy Napoleon był w Moskwie, ogłosił fałszywą wiadomość o śmierci cesarza, przez 24 godzin opanował paryski garnizon i przejął władzę w swoje ręce. Takimi ludźmi byli w zmniejszonej skali, gdzie zamiast zdobywcy pozostaje już tylko zwykły zbrodniarz, prawie wszyscy komendanci i dozorcy koncentracyjnych obozów, a i ciury ich — więźniowie o przeszłości kryminalnej, czy nawet kiedyś tam politycznej, ale wynaturzeni przez za długie więzienie tzw. „prominenci", będący na funkcjach w obozach koncentracyjnych. Bez nich obozy byłyby nie do pomyślenia, bez tej gromady podludzi, uważających się za nadludzi, bo wydawało się im, że są silniejsi od innych — cała epoka Hitlera nie mogłaby zaistnieć.

Druga wojna światowa spowodowana przez wyrzucenie zwykłej, jakoby już przestarzałej ludzkiej etyki poza burtę tonącego okrętu, była już tak głębokim wstrząsem, iż nie mogła pozostawić po sobie tylko — niedosytu. Mogła ona zniweczyć nasz kontynent europejski, albo i nie wątpię, że tak jest na pewno, nawrócić nas do optymistycznej wiary w ludzkość.

Niewystarczająca jest dziś sceptyczna teoria, że wszystko już było, że dzieje ludzkości to tylko kolejność przypływów i odpływów; wojna, która się obecnie w Europie skończyła i która dopala się na Dalekim Wschodzie, potrafiła połączyć tak różne narody, jak tradycjonalistów angielskich i kwakrów amerykańskich z rosyjskimi bolszewikami. Po tej jednej stronie barykady stoją dziś najlepsi nowożytni katolicy i wierzący w ludzkość wolnomularze, polityczni demokraci z Zachodu i dumni ze swej ekonomicznej demokracji ludzie Europy Wschodniej i Azji. To co ich łączy, to nie tylko wojna przeciwko wspólnemu wrogowi, gdyż ta jest skończona, ale wiara w pokój, w lepsze jutro świata, znajdującego się w różnych etapach tej samej, jedynej drogi do postępu, którą hitlerowski faszyzm chciał zastawić, ale został zmyty z powierzchni przez prąd płynącej zawsze w tym samym kierunku — rzeki. Dzisiejszych zwycięzców łączy nie to, co jest w nich złe, ale to, co jest w nich najlepsze. Jest to najważniejsze wojny tej osiągnięcie. Kiedy po pięciu latach pobytu za drutem kolczastym, a więc po długiej przerwie w uczestniczeniu w bieżącym życiu, powraca się do tego życia, mimowoli ma się ochotę do tworzenia syntezy, gdyż patrząc z daleka na rozwój wypadków, nie widzi się szczegółów, ale kształty najistotniejsze.

Bolączki chwili obecnej wobec przecierpianych okropności wydają się jakoś nieważne; zrozumiałe skądinąd narzekanie ludzi, których wojna nie wyrwała z ich środowiska, wydaje się takie jakieś nieistotne, a zwycięstwo demokracji nad faszyzmem zwycięstwem wiary w człowieka nad pesymistycznym sceptycyzmem, po prostu oczywistym zwycięstwem dobra nad złem.

Krzysztof Radziwiłł

ADOLF CHYBIŃSKI

O losach polskiej muzyki ludowej

Obfita mnogość artykułów i sprawozdań poświęconych wykazom strat, jakie z powodu działań wojennych ponieśliśmy w zakresie zabytków kultury artystycznej, pozwala nam już obecnie w przybliżeniu zdać sobie sprawę z wielkości tych strat, jakkolwiek wiemy, że do dokładnych zestawień jest jeszcze dość daleko. Ale nie popełnię może zbyt wielkiej przesady, jeśli zaryzykuję twierdzenie, że o wielkości strat na polu muzyki ludowej czy w ogóle ludowej kultury artystycznej (poza zupełnym zniszczeniem szeregu regionalnych muzeów etnograficznych) niewiele pomyślano, odnosząc się bagatelizująco lub nie pamiętając o losach wojennych zwłaszcza owej mickiewiczowskiej „pieśni gminnej", której jakoby nie mogli zniszczyć „mieczowi złodzieje". Sytuacja jej jednakże przedstawia się daleko groźniej, niżby się zdawać mogło. Musimy tę sprawę rozpatrzeć w dwóch kierunkach: jeden wiedzie nas do samego folkloru muzycznego i wsi, jako jego głównego zbiornika, drugi zaś do badań nad nim, do pracy etnograficznej, odbywającej się w naukowych instytucjach miast, a częściowo w ogóle do miejskiej kultury muzycznej. Przekonamy się bez trudu, jak wielkie (nie zawahałbym się nawet powiedzieć: olbrzymie) straty ponieśliśmy w ostatnich latach i na jednym i na drugim polu. Co więcej — odsetki tych strat będą nas dręczyć przez długie lata; ich zmniejszenie będzie zależne tylko od nas samych, od zrozumienia tego zagadnienia i od szybkiego przystąpienia do organizowania ratunku.

Musimy na samym wstępie zaznaczyć z całym naciskiem, że uświadomienie naszego społeczeństwa, jego szerokich warstw, nie wyłączając także tzw. „sfer oświeconych", w sprawie znaczenia i wartości folkloru muzycznego dla naszej kultury narodowej było i jest niewielkie, w niektórych warstwach nawet żadne. Przeciętny, oświeceńszy „inteligent" słyszał coś o Kolbergu i jego „Ludzie", zawierającym wielką mnogość melodii ludowych z całej niemal Polski, i był przekonany, że „Kolberg wydał wszystko", tj. wszystkie melodie naszego ludu. Po prawdzie Kolberg i jego następcy wydali zaledwie cząstkę tego, co lud nasz śpiewał i śpiewa lub grywa. Po Kolbergu praca nad zbieraniem i wydawaniem muzyki ludowej posuwała się w przysłowiowym żółwim tempie. Okazało się nawet, że istnieją jeszcze liczne stosunkowo materiały po Kolbergu, dotąd czekające na wydanie. Pracę nad zbieraniem melodii ludowych przerwała wojna. Praca ta natrafi na trudności, jakie poprzednio nie istniały. Wojna zmiotła z powierzchni ziemi bardzo wiele polskich wsi a wraz z nimi mnóstwo ludzi i mnóstwo melodii, między nimi melodie prastare, które już nigdy nie ożyją, a wraz z nimi ich liczne warianty, jedne ciekawsze od drugich. Cierpienia wsi polskiej podczas obecnej wojny są zbyt znane, aby tu o nich pisać. Wymarły mnogie rzesze ludzi wiekowych na wsi, którzy dzięki swemu umiłowaniu rzeczy dawnych mogli byli stanowić czynnik tradycji, czynnik tak ważny w muzyce ludowej. Do tych strat dołącza się jeszcze inna, kto wie czy nie równie wielka. Masy ludzi ze wsi wywieziono do obozów pracy i do fabryk w Niemczech i innych krajach okupowanych przez Niemców, inni przez szereg lat przebywali i przebywają jeszcze jako żołnierze w obcych krajach, gdzie, podobnie jak tamci, przyswajają sobie obce melodie, które śpiewać i grywać będą w polskiej wsi, gdy do niej powrócą. Na tej zaś wsi gościli i goszczą ludzie obcy, mający swe pieśni i swe melodie, które lud wiejski tak łatwo sobie przyswoił i dalej przyswaja, ileż razy ze szkodą dla swojskiego folkloru!

Następuje przemieszanie swoich i obcych melodii i ich cech ze stratą dla czystości czynnika etnicznego, rdzennie polskiego. Proces ten odbywał się i dawniej niekiedy, ale w mierze stosunkowo dość skromnej. Łatwo było zawsze odróżnić w muzyce naszej wsi obcy nalot od czynnika lokalnego (najłatwiej oczywiście na pograniczach etnicznych). Nie będzie prawdopodobnie trudno odróżnić go i obecnie, ale jakżeż zmieniony będzie żywy obraz i styl naszej muzyki ludowej! Nigdy jeszcze nie było tak szybkiego procesu przenikania się czynników etnicznie różnych. Niewątpliwie interesujący to przedmiot badań dla etnografa muzycznego, ale budzący bardzo smętne refleksje o stanie naszej muzyki ludowej. Każdy bowiem obcy nabytek stoi w prostym stosunku do wielkości straty czynnika rodzimego, i to niekiedy w ramach tej samej melodii ludowej. Zresztą nie chodzi tu o poszczególne melodie, lecz o tę całość, decydującą o syntezie stylistycznej naszej muzyki ludowej, która już od długiego szeregu lat przed obecną wojną z trudem odpierała gwałtowne ataki potężnej zaczepnej broni tego rodzaju, jak radio i patefon, odtwarzający z płyt popularną muzykę obcą, zwłaszcza obce melodie taneczne.

Ta właśnie broń wynaradawiała nasze miasta, w których coraz mniej odzywały się „swojskie dźwięki", wieś bowiem traciła coraz bardziej swoje wpływy na miasto, a nawet utraciła je zupełnie. Dziś, w poczynającym się okresie powojennym, słyszymy już rzeczy zgoła dziwne: przechodzące ulicami oddziały śpiewają pieśni, których melodie mają o wiele mniej polskiego charakteru, niż melodie dawniejsze, a niekiedy wcale go nie posiadają. A ponadto: dlaczego dla pewnego tekstu polskiego wybrano melodię pochodzenia notorycznie ukraińskiego („Ne chody Hryciu"), gdy się należy do narodu słynącego w całym świecie z nieprzebranego bogactwa melodii ludowych? Jest to mała próba przekroju, ale jakże wielka jest jej wymowa i jak kompromitująca? W jakimże celu uprawia się takie „dobrowolne ubóstwo"? I dlaczego komplikuje się i tak już skomplikowaną sytuację naszej pieśni ludowej? Należałoby zapytać psychologa mas, czy przypadkiem nie mamy tu do czynienia z jednym z objawów masowego obłędu. (W czasie 4-miesięcznego pobytu w Krakowie w bieżącym roku nie słyszałem „w mieście" ani jednej melodii polskiej, natomiast kilkadziesiąt obcych, pochodzących z najróżniejszych stron całego świata).

Przejdźmy jednak do sprawy badań nad naszą muzyką ludową. Jak wiadomo, pierwszym etapem tych badań jest systematyczne zbieranie melodii ludowych wśród ludu wiejskiego. Notuje się te melodie „według słuchu", co jest metodą już przestarzałą, a przede wszystkim nie zawsze pewną, gdyż muzyczny słuch zbieracza czasem zawodzi, a sposób wykonywania (zwłaszcza śpiewania) muzyki na wsi wymaga niekiedy wielkiego wysiłku z powodu pewnych chwiejności tonalnych, które muszą być uwzględnione, jeśli melodia ma być wiernie oddana w piśmie nutowym. Albo też nagrywa się te melodie na wałki fonograficznie i utrwala się je na płytach, poczem dokonuje się transkrypcji nutowej (reprodukcji w piśmie nutowym), aby je wydać dla celów naukowych lub innych. Obydwie metody stosowano u nas, oczywiście z różnym powodzeniem. Rozwój pracy za pomocą metody fonograficznej wchodził już od szeregu lat na coraz wyższe szczeble. I tu właśnie wojna obecna przyniosła nam największe straty, i to straty niepowetowane absolutnie niczem. Przy Bibliotece Narodowej w Warszawie istniało Centralne Archiwum Fonograficzne, urządzone na miarę prawdziwie europejską. Poza bogatym laboratorium fonograficznym, posiadającym wiele cennych aparatów i utensyliów, istniało archiwum fonograficzne, a w nim 7.000 płyt, zawierających przeszło 20.000 ludowych melodii, nagranych w całej niemal Polsce, i to nie tylko w obrębie przedwojennych granic Rzeczypospolitej — owoc niemal 10-letniej pracy zbierania. Były tam płyty z melodiami ludowymi polskimi, nagranymi (oczywiście cichaczem, bez wiedzy władz pruskich) we wsiach polskich w Prusach Wschodnich i na Śląsku wówczas niemieckim, stwierdzające polskość tych ziemi. Były tam płyty z kilku tysiącami melodii ludowych z okolic tak mało lub wcale nie zbadanych, a nawet nieznanych muzycznie, jak Beskid Zachodni lub Polesie. Centralne Archiwum Fonograficzne, ukryte przed Niemcami w piwnicach i lochach Biblioteki Krasińskich w Warszawie, oblali Niemcy benzyną i spalili doszczętnie. Nie uratowała się ani jedna płyta, ani jedna melodia z owych przeszło 20 tysięcy, ani jedna melodia wydana. Mniejsza już o straty materialne. Obliczyłem je na podstawie ścisłych danych na przeszło 250 000 zł. (przedwojennych). Aparaty i utensylia będzie można po jakimś czasie uzyskać w drodze odszkodowań wojennych. Przebogatego materiału, jakim były melodie ludowe (przeszło 20 000!), nagrane na płytach, spalonych doszczętnie przez zbrodniczych szaleńców niemieckich, nie odzyskamy nigdy; a żadna z nich nie była wydana, niejedna z nich już nigdy do życia nie powstanie. Wiele wsi bowiem i ludzi, z tych wsi pochodzących, nie istnieje, wraz z nimi zginęły na zawsze ich melodie. Nie trzeba być aż muzykologiem-etnografem, aby zdać sobie sprawę z olbrzymiej straty, jaką poniosła nasza etnografia muzyczna, straty, która pociągnie za sobą długoletni zastój w badaniach nad polską muzyką ludową. Tej pracy nie będzie można tak szybko podjąć na nowo.

Niemniej dotkliwą, choć mniejszą stratę poniosło Archiwum Fonograficzne, mieszczące się w Uniwersytecie Poznańskim. Łudzono się, że ocalało. Posiadało ono kilka tysięcy melodii ludowych nagranych we wsiach Wielkopolski, Pomorza, Śląska i Pienin. Niestety, jak mi donosi jeden z czołowych muzyków poznańskich, dyr. Z. J., „nie wiadomo gdzie podziało się uniwersyteckie archiwum zdjęć fonograficznych pieśni ludowych polskich". Nie chcę tracić nadziei, że przynajmniej część tego archiwum odzyskamy w drodze rekompensat wojennych, albowiem dublety płyt poznańskich otrzymywało Archiwum Fonograficzne w... Berlinie w zamian za sporządzanie odlewów matryc. Jeśli ocalało laboratorium fonograficzne poznańskie, a więc aparatura, to wobec zupełnego spalenia warszawskiego Archiwum Fonograficznego, będzie mogła placówka poznańska wziąć na siebie ciężkie, lecz wdzięczne i ważne zadanie objęcia opieki nad polską pieśnią ludową, bez ograniczania się tylko do pewnych ziem polskich.

Mamy jeszcze do zanotowania i inne straty. W Imielnicy pod Płockiem istniał wielki zbiór pieśni ludu kurpiowskiego, zebrany w ciągu długiego szeregu lat z imponującym nakładem pracowitości i systematyczności przez imielnickiego proboszcza ks. Wł. Skierkowskiego. Kilka zeszytów tego zbioru wydano przed wojną, reszta pozostała w rękopisie. (Na wielką wartość tej publikacji wskazuje już choćby fakt opracowania szeregu melodii przez Karola Szymanowskiego z najwyższym artyzmem). Zniszczenie Imielnicy pociągnęło za sobą zniszczenie niewydanych rękopisów ks. Wł. Skierkowskiego, z kilkoma tysiącami melodii Kurpiów. Inna strata: kierownik szkoły w Jabłonce na Orawie Polskiej, zakatowany przez niemieckich zbirów w Oświęcimiu, Emil Mika, zebrał wiele orawskich melodii tanecznych, aby je wydać w ślad za wydanymi już dawniej przez niego cennymi „Pieśniami orawskimi". Rękopis tańców najprawdopodobniej zaginął lub może nawet zniszczono go podczas walk na Orawie Polskiej. Ile innych jeszcze wartościowych zbiorów naszej muzyki ludowej — i to zbiorów nie wydanych — zaginęło lub uległo złośliwemu a celowemu zniszczeniu, to okaże jeszcze przyszłość. Dodać tu jeszcze musimy straty, jakie ponieśliśmy przez zniszczenie wielu księgozbiorów, posiadających tak cenne wydawnictwa, jak choćby „Lud" Kolberga, wydawnictwo dziś już tak bardzo rzadko spotykane jako całkowity egzemplarz.

Cóż więc ocalało?

Nie tak wiele! Tyle co posiadały zbiory krakowskie. I to ocalało niemal „cudem". Wiemy wszyscy, jaki los chcieli Niemcy zgotować naszemu miastu. Gdyby nie przysłowiowo błyskawiczne uderzenie Czerwonej Armii, które niespodziewanie oswobodziło nasze miasto, los bibliotek, muzeów i innych zbiorów krakowskich byłby przypieczętowany. Dzięki temu ocalały w zbiorach Polskiej Akademii Umiejętności przede wszystkim niewydane dotąd teki po Kolbergu, zawierające melodie ludowe z południowo-zachodnich ziem polskich. Nie można ani na chwilę wątpić, że ich wydanie stanowić będzie jedno z najpierwszych zadań Komisji Etnograficznej naszej Akademii. Ocalały zapewne materiały do wydania następnych tomów „Pieśni śląskich" (wydano dotąd dwa tomy). Uchowały się dalej bogate zbiory niewydanych dotąd pieśni ludowych w Muzeum Etnograficznym (Wawel), zbiory, które powstały dzięki organizacyjnej pracy i wysiłkom śp. Seweryna Udzieli, a wraz z nimi zbiór ludowych instrumentów muzycznych. (Wspomnę wreszcie o ocaleniu mego zbioru melodii ludowych z całego Podhala, zbieranych od przeszło 20 lat). W nienaruszonym stanie pozostało Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem, posiadające kilkadziesiąt instrumentów muzycznych z Podhala, Orawy i Spisza. Jest to jedno z kilku ocalałych muzeów regionalnych. Uniknął wreszcie tragicznego losu wielki zbiór niewydanych melodii z Beskidu Zachodniego, gromadzony przez szereg lat przez St. Stoińskiego z Katowic.

To było by zapewne wszystko, o czym się wie. Już z tego wynika, że obronną ręką z zawieruchy niszczycielskiej wyszły tylko południowo-zachodnie ziemie Polski. Reszta Rzeczypospolitej wymagać będzie szczególnie wielkiej opieki w zakresie gromadzenia na nowo materiałów ludowej muzyki.

W poprzednim (32) numerze „Odrodzenia" z dnia 1 lipca: **Tadeusz Boy-Żeleński:** Paradoksy balzakowskie. — **Artur Marya Swinarski:** Libra. — **K. W. Zawodziński:** Dom Kraszewskiego. — **Seweryn Pollak:** Paryż. 22 czerwca 1941 r. — **Józef Morton:** Łata. — **Adam Ważyk:** Aktualność „Fantazego". — **Józef Sieradzki:** Najlepsza granica Polski. — **Mieczysław Wionczek:** Problemy śląskie. — **(js):** Nowe książki. — **Jerzy Wyszomirski:** Rozkład rodziny. — W oczach pisarzy. Ankieta „Odrodzenia". Odpowiedź **Stefana Flukowskiego.** — Kronika zagraniczna. — **Jan Kott:** Po prostu. Dwa opowiadania albo powiastka moralna. — **Kalendarz kulturalny.** — 4 ilustracje. — 8 stron.

JÓZEF SIERADZKI

Konieczna reforma

Przeciwnicy reformy szkoły czerpią swój nastrój wrogości, niechęci, krytycyzmu lub sceptycyzmu z różnych źródeł i wytaczają rozmaite argumenty. Że zwierciadło naszego życia jest zbyt mętne, by można jasno ujrzeć ideał wychowawczy pokolenia, które przebyło stromy próg współczesnej historii. Że nie podobna jeszcze wznieść się na stopień świadomości społecznych, gospodarczych i kulturalnych zmian, które muszą znaleźć odbicie i wyraz w poznawczej treści nowej szkoły. Że przebudowa nie jest na czasie, wymaga bowiem środków, których nie ma naród wybiedzony przez wojnę. Laudatores temporis acti żywią nieufność do wszelkich zmian i wolą to co dawne, choćby było gorsze. Inspirowani politycznie biorą miarę wszystkich spraw z przeniesionego do Londynu hotelu Lambert. Najwięcej jest jednak niezorientowanych, którzy nie znają prawdy o szkole lub znają ją niedostatecznie.

Spokojni o przyszłość zwolennicy wolnego kroku, niewygasająca odmiana „straży pożarnej", którzy przypisują sobie rozwagę i stateczność, drugim zaś zarzucają niewczesny pośpiech, byliby poruszeni, gdyby zadali sobie trud uważnej lektury książeczek małego formatu w buraczkowej okładce, zawierających katechizm obecnej szkoły. Pracował nad nią trust wybitnych mózgów, których dzieło nosi popularnie miano szkoły jędrzejewiczowskiej.

BURACZKOWO-BRUNATNA

Na stronicach poświęconych programowi języka niemieckiego w liceum czytamy, że w poznawczej treści przedmiotu ma znaleźć się:

„Wędrówka ludów ze szczególnym uwzględnieniem uwydatniających się w niej cech **dynamizmu** szczepów germańskich **w poszukiwaniu** coraz to **nowej przestrzeni".**

„Kult przeszłości i tradycji germańskiej w Niemczech w świetle wybranych ustępów literatury".

„Krytyczne (na szczęście!) oświetlenie **roli pierwiastka germańskiego w ideologii Niemiec współczesnych".**

„Zagadnienie przestrzeni i ekspansji narodowej w polityce niemieckiej, zwłaszcza narodowo-socjalistycznej z podkreśleniem hasła **„Volk ohne Raum".**

„Nawiązanie do ideałów średniowiecza w dziedzinie polityczno-społecznej w wieku XX".

„Dziedzictwo kultury weimarskiej w kształtowaniu ideałów wychowawczych w Niemczech i **późniejsze próby odrodzenia kultury niemieckiej z ducha germańskiego".**

Tak w klasie pierwszej polskiego liceum. W drugiej klasie pojawiają się następujące tematy:

„R. Wagner — romantyzm — **dynamizm".**

„Prasa w Niemczech dawniej i dziś".

„Początki i rozwój ruchu narodowo-socjalistycznego, jego odbicie w życiu i kulturze niemieckiej".

„Literatura polityczna Niemiec narodowo-socjalistycznych".

„Organizacja kultury przez narodowy socjalizm".

„Piśmiennictwo narodowo-socjalistyczne".

„Zasada przywództwa w życiu niemieckim i tęsknota do silnej jednostki".

„Armia i naród w Niemczech i charakterystyka żołnierza niemieckiego".

„Próba charakterystyki narodu niemieckiego w świetle wyznań **wybitnych przedstawicieli polityki, literatury i nauki niemieckiej".**

Analogicznie, tylko na propedeutycznym stopniu, sformułowanie programów dla klas trzeciej i czwartej gimnazjalnej.

Zamiast unosić się gniewem i miażdżyć słowem za ten niebywały bądź co bądź dokument i dowód zupełnej zatraty zmysłu politycznego, instynktu samozachowawczego, samodzielności myśli i odpowiedzialności, zwróćmy na chwilę uwagę na wykonanie tych zaleceń programowych. Jak wygląda ono w najważniejszym instrumencie, którym posługuje się nauczanie i nauczyciel, w podręczniku szkolnym. Wstąpiwszy raz na drogę cytatów, pozostaniemy na niej jeszcze dłużej.

DEUTSCH!

Podręcznik dla IV. kl. gimnazjalnej napisali Z. Łempicki i G. Elgert, wydała zaś Książnica-Atlas w 1937 roku. Nie był to zresztą podręcznik jedyny. Glejt ministerialny opiewa: **Zatwierdzony do użytku pismem Ministerstwa W. R. i O. P. z 31. VIII. 1937 r. II. Pr-1496 437.** Tytuł podręcznika: **Deutsch.**

Pokonajmy zażenowanie i palący wstyd i przerzućmy cokolwiek książkę, która dziś jeszcze znajduje się w bibliotekach, w domach prywatnych, a bodajże i w użytku tam, gdzie utrzymana została nauka języka niemieckiego, po prostu dlatego, że brak innego podręcznika.

Jest czytanka „Der Schüler Hitler — nach K. Heiden". Ów Heiden jest oczywiście pisarzem autoramentu hitlerowskiego. Czytanka prawi o tym jak amor et deliciae generis humani, urodzony na wielki pożytek w Braunau, uczył się i nie chciał się uczyć w latach szkolnych. Dom w Braunau, „das einfache Haus" jest zwiedzany przez wielu Niemców. Jest informacyjny urywek o Alfredzie Kruppie. Współczujące uznanie: „Długa i ciężka była droga Kruppa", ale großes hatte er erreicht. Zasłynął też troską o swoich robotników. „Er schuf große Einrichtungen für die Wohlfahrt der Arbeiter". Dla lepszego spamiętania rzeczy, ćwiczebne pytanie: „Co wiesz o obecnym stanie zakładów Kruppa?" wraz z dodatkową informacją: około 80 tysięcy robotników, produkty ze stali i żelaza, okręty, broń, amunicja, „grube Berty", dalekonośne działa.

Dalej krótka statystyka des deutschen Winterhilfswerkes (WHW), zaraz potem ustęp: „Die deutsche Arbeitsfront (DAF)" und „Kraft durch Freude (KdF)": „Niemiecki front pracy zajął miejsce związków zawodowych". Obejmuje on „ale Schaffenden der Stirn und der Faust". Nastrój rośnie, lecz wymaga dowodów. Są i dowody. Robotnicy komunikują swe przeżycia, zaznane dzięki „KdF". Robotnik płynie po morzach. Karl Lembrecht wygrzewa się w wygodnym leżaku na pokładzie parowca „Der Deutsche" i mruczy z zadowoleniem: „Schön, wunderbar schön!" Obok ilustracja. Dwaj górnicy spędzają urlop in Ostpreußen. „Tych czternastu dni nie zapomnimy nigdy". „Ostpreußen muß man erlebt haben!" (str. 61—62). Znów zdjęcie: „Ostpreußische Landschaft".

Rozdział „Volk ohne Raum" jest bezkonkurencyjny. Niemcy są przeludnione. Coraz trudniej przychodzi wyżywić naród auf engem Raum. Przemysł ma mało rynków zbytu. „Und deshalb ist die Raumfrage so brennend geworden". Perswazja, jak na młodzież w polskiej szkole, dość przekonywająca. Wiąże się z tym idealnie fragment w powieści Hansa Grimma — „Volk ohne Raum" w podręczniku dla pierwszej klasy licealnej.

„Schau um dich, schau vor dich und bedenke die Enkel und Neugeborenen. Es gibt eine Sklavennot der Enge, daraus unverzwungene Leiber und Seelen nie mehr wachsen können".

Wołaniu Grimma stało się zadość. Rozglądnęli się uważnie dokoła siebie i przed siebie, co przypłaciło życiem wielu, bardzo wielu z tych, którzy się tego fragmentu uczyli w Polsce, i ich ojców, matek, sióstr i braci.

Potem jest paragraf z Reichsarbeitsdienstgesetz i list junaka z miejsca pracy na roli, przedrukowany z „Deutsche Jugend". Przy kolacji po znojnym dniu śpiewali „alte Soldatenlieder". Naliczyli, że umieją ich już około 50. Na zdjęciu landsknechty w uniformach junaków, na opaskach widoczna swastyka. O pewnej godzinie sierpniowego dnia dostali broń i poszli na Polskę, śpiewając „Heili heilu heila".

Jest Erbhof i Deutschlands Weg od Bismarcka do Trzeciej Rzeszy, aż do 30 stycznia 1933, proklamacja cesarstwa w lustrzanej sali Wersalu „unter Hurra und Militärmusik mitten in einem siegreichen Kriege". „A francuskie działa przed Paryżem brummten ihre Begleitmusik dazu". To Thiers zgniatał opór komunardów, ale intencją czytanki jest nie współczucie dla obrońców paryskiej komuny, lecz podziw dla glorii Niemiec.

Jest wiele jeszcze rzeczy o treści soczystej, wyrażonej w prozie i mowie wiązanej. Nawet w kartograficzny sposób. Tę mapkę, która podaje **Verluste des alten Reichsgebietes** po wojnie światowej, **w tym ziemie zaboru pruskiego** warto by reprodukować, samo bowiem powołanie się na stronicę książki (str. 84 u dołu) nie wzbudzi wiary.

Ponieważ Friedrich Silcher napisał wiersz, podniecający do bohaterstwa, chłopcy i dziewczęta polscy mogli go poznać i nauczyć się na pamięć wraz z melodią, którą starannie podano:

Kein schönrer Tod ist in der Welt,
als wer vorm Feind erschlagen
auf grüner Heid, im breiten Feld
darf nicht Hörn groß Wehklagen.

Wnet już zakończymy tę budującą litanię, albowiem poznawcza treść, uznana za właściwą przez twórców programu języka niemieckiego dla naszej szkoły kulminuje się i zagęszcza do ostateczności w następujących po sobie czytankach: „Aus dem Tagebuch eines Jagdfliegers — nach Herman Goering", ustęp o Hindenburgu, z podobizną, „Die Partei" nach Adolf Hitler, Mein Kampf (scena w monachijskiej winiarni), „Der Putsch" nach K. Heiden o 9 listopada 1923.

W obliczu tego wypada zastanowić się, dokąd prowadzi inwestygacja winy za niejeden fakt odstępstwa tych, którzy zgłaszali się na „volkslistę". Jeżeli młodzież przyswajała sobie istotnie treść i ducha cytowanych czytanek, filiacja i geneza winy nie nastręcza wielkich trudności.

Z JEDNEGO STRUMIENIA

Oblicze języka niemieckiego jest przerażające. Ale elementy paratotalitarne przepajają bądź impregnują treść poznawczą i kierunek wychowawczy szeregu innych przedmiotów, w różnym stopniu, zależnie od natury przedmiotu.

Więc nauka o Polsce współczesnej.

„Opracowując zagadnienia życia współczesnego nauczyciel winien zwrócić uwagę na **nadanie całemu materiałowi charakteru dynamicznego".** Wiadomo dobrze, co to oznacza i z jakiego strumienia zaczerpnięto terminy „dynamizm", geopolityka i inne. Z tego samego, z którego pochodzi społeczny aspekt programu i katechizmu wychowawczego. Chociaż wyliczenie pojęć i terminów z zakresu ekonomii i socjologii, z którymi uczeń powinien się zapoznać, składa się na długą listę, w dynamicznym rozmachu i solidarystycznej emfazie nie wspomniano ani razu o chłopie i robotniku. Mówi się o składzie i podziale ludności pod względem zawodowym, o pracy i zajęciach, o własności warsztatów pracy, grupach społecznych, wytwórczości rzemieślnika, drobnego i wielkiego przemysłu, o kapitale, nawet o prawie pracy (czyżby?!) i bezrobociu.

Hasła o „wsi i jej roli w życiu Polski" uwzględniają wszelkie możliwe tematy aż po najbardziej elitarne, wyszukane, pięknoduchowe, ale słowa chłop nie użyto. Jest natomiast wieś, rola, gospodarstwo rolne, kultura rolna, kultura wiejska. Są tradycje rolnicze w kulturze duchowej Polski. Podobnie program historii woli wygładzone terminy: kmieć, włościanin, ludność wieśniacza. Z wielką wytrawnością filologiczną, eufemistycznie prześlizguje się program nie tylko po trudnościach terminologicznych, ale również po niebezpiecznych miejscach, pod którymi czają się zagadnienia społeczne. Jest za to pochwała twórczości indywidualnej, rzecz jasna w dziedzinie gospodarczej i inicjatywy prywatnej jako niezbędnego warunku gospodarczego postępu. Jest last non least rola i znaczenie przywódców (Führertum!).

Stąd jeden krok do historii. Jej systematyczny wykład ustąpił jak wiadomo metodzie zagadnień. Wśród nich uderza w spisie dla liceum zanik tematów z historii stosunków polsko-niemieckich, te zaś, które są, sprowadzone zostały do mizernych resztek, ściszone i wygładzone najwidoczniej sub specie paktu o nieagresji z Niemcami. Gdy np. nie podobna już nie mówić o ekspansji terytorialnej Polski na zachód i północ za Bolesława Chrobrego, jednym tchem podsuwa się walki o Ruś Czerwoną. Gdy mowa o walkach o ujście Wisły i Bałtyk, skwapliwie narzuca się wątek wschodni: ekspansja pokojowa na wschód, dążenie do Morza Czarnego, starcie z Moskwą.

W tym pomyśle jest metoda. Wywodzi się ona z tej samej intencji, która sprawiła, że wojny polsko-krzyżackie zepchnięte zostały do rzędu zagadnień traktowanych ze stanowiska historii wojen i wojskowości. Jak gdyby w walkach obronnych toczonych przez Chrobrego i Krzywoustego z Niemcami najważniejsze były cechy charakterystyczne ówczesnej taktyki polskiej, w bitwie pod Grunwaldem biegłość taktyczna Zyndrama z Maszkowic, a w wojnie trzynastoletniej o Pomorze zaniechanie pospolitego ruszenia, a nie zwycięstwo nad Zakonem.

W Alei Szucha musiano liczyć się z głosem z Wierzbowej, a ulica Wierzbowa obserwowała delikatność w stosunku do Wilhelmstraße. Za to dawano wolną rękę wobec Moskwy. Stąd wziętość tematów z najbliższego wschodu: misyjna działalność Polski i jej związek z wielkimi koncepcjami politycznymi, polskie projekty polityczne wobec Moskwy (umiłowanie okresu rosyjskiej „smuty"!), kulturalna ekspansja Polski na wschodzie. Błędny i szkodliwy, w najlepszym wypadku koniunkturalny układ spraw polityki zagranicznej roztrącił strukturę historii ojczystej. Złudny zefir kollaboracji polsko-pruskiej powiał po naszym programie historii, zmącił jej przyrodzone oblicze, pozbawił najistotniejszego sensu i zredukował zasadniczą treść do żałosnych szczątków.

Janusz Jędrzejewicz i Kazimierz Pieracki mieli jasną świadomość celu. Ich program jest bardziej zwarty i konsekwentny niż nawet niejeden zwolennik jego myśli i wie. Ludzie, którzy szli z gotowością w stronę paratotalnego systemu ustrojowo-politycznego, udawali się po pożyczkę filozoficzną do Macha, witali odrodzenie metafizyki i irracjonalizmu, zachłystywali się estetyką i etyką, grzebali się w psychologizmie, zalecali lekturę „Końca tragedii" Nietzschego, rozważali ideę sztuki i pracy w twórczości Norwida, głosili kryzys demokracji i parlamentaryzmu. Ci sami ludzie negowali istnienie proletariatu i klas społecznych, potrzebę reformy rolnej i emancypacji robotnika.

Jedna nić snuje się przez całość, filozoficzno-społeczne założenia szkoły, programy jej poszczególnych przedmiotów i ustrój dotychczasowy.

Tym więcej i prędzej musi dokonać się reforma w obliczu kardynalnych zmian, które nastąpiły w toku wojny i po wojnie. Przewrót w zasadach naszej polityki zagranicznej, przebudowa podziału własności ziemskiej, zmiany gruntowne w organizacji przemysłu, powrót utraconych ziem zachodnich, przesądzają jakość i ilość wiedzy, cele poznawcze i ideał wychowawczy naszej szkoły.

Jej reforma jest niezbędna.

Jaka ma być nowa treść i oblicze — na ten doniosły temat odbyć się musi wymiana myśli, która zatoczy kręgi daleko poza sam tylko sfery nauczycielskie.

Jubileuszowa sesja Akademii Nauk ZSRR

Związek Radziecki obchodził w czerwcu b. r. uroczyście dwustudwudziestą rocznicę utworzenia w Moskwie Akademii Nauk. Zjechali się na sesję jubileuszową do Moskwy przedstawiciele nauki całego cywilizowanego świata, wygłoszono wiele cennych referatów.

Założycielem rosyjskiej Akademii Nauk był Piotr Wielki. Pomysł utworzenia jej powstał na tle jego rozmów z Leibnitzem, oraz w związku z pobytem Piotra w Paryżu, gdzie miał sposobność zapoznania się z akademią paryską. Piotr W. doszedł do przekonania, że stworzenie w Rosji akademii na wzór Paryża, czy Londynu, było by niecelowe, ponieważ Rosja nie miała w owym czasie ani szkół średnich, ani uniwersytetów, musiała więc tworzyć instytucję o typie odmiennym od zagranicy. Piotr Wielki postanowił więc połączyć Akademię Nauk ze szkolnictwem średnim i wyższym. Dało to rezultaty pomyślne. Po dwudziestu latach od chwili założenia Akademii, które nastąpiło w roku 1725 (Piotr dnia tego nie dożył), zjechali się do Petersburga różni uczeni zagraniczni. Przy ich współdziałaniu położono podwaliny pod uniwersytet i gimnazjum. Na początku swej działalności Akademia petersburska opierała się na uczonych zagranicznych. W tej atmosferze zaczęli wychowywać się uczeni rosyjscy. Pierwsze miejsce wśród nich zajął Łomonosow. Wielki ten uczony był i fizykiem i chemikiem i geologiem i historykiem i geografem i językoznawcą. Uczniami jego byli w wieku XVIII Trediakowskij w dziedzinie językoznawstwa, Kraszewnikow, Lepiechin, Ozoreckowskij w dziedzinie geografii i nauk przyrodniczych, Rumowskij i Kononow w dziedzinie astronomii i fizyki. W początkach XIX wieku obok Akademii Nauk stworzono szereg specjalnych instytutów naukowych z akademią chirurgiczno-medyczną na czele. Wśród uczonych pierwszej połowy XIX wieku wymienić wypada fizyka Pietrowa, którego nazwisko związane jest z szeregiem wynalazków na polu elektryczności, wybitnych matematyków Buniakowskiego i Ostrogradzkiego, historyka Ustriałowa. Druga połowa wieku XIX była w Rosji, jak zresztą w całej Europie, epoką rozwoju nauk przyrodniczych. Wśród uczonych rosyjskich tego okresu wymienić należy wybitnego matematyka Czerbyszewa, krystalografa i specjalistę w sprawach artyleryjskich Gadolina, sejsmologa Golicyna, chemików Zinina i Butlerowa, geologów Karpinskiego i Czernyszewa, wybitnego darwinistę i zoologa Kowalewskiego. Nauki humanistyczne poszczycić się również mogą szeregiem wybitnych uczonych. Akademia dokonała w owym okresie licznych ekspedycyj naukowych: przyczyniły się one do wyjaśnienia wielu zagadnień z dziedziny geografii, etnografii, historii i meteorologii. Bezpośrednio przed rewolucją październikową w skład Akademii wchodziły siły tak wybitne, jak matematycy Markow, Łapunow, Stiekłow i Kryłow, krystalograf Fiedorow, fizjolog Pawłow, mineralog Wernackij, reformator językoznawstwa Marr, oraz szereg innych wybitnych uczonych z Oldenburgiem na czele. W roku 1905 Akademia wybrała swym członkiem honorowym Maksyma Gorkiego, przy czym warto zwrócić uwagę, że wybór ten nie został zatwierdzony przez cara.

Po rewolucji październikowej prezydium Akademii w osobach przewodniczącego Karpińskiego i sekretarza Oldenburga, potrafiło znaleźć wspólny język z władzą radziecką. W okresie rozpoczętym przez rewolucję październikową nastąpił nie tylko wspaniały rozwój Akademii, ale też zmienił się jej charakter i oblicze.

Milionowe masy wchodzące w skład Związku Radzieckiego, dla których przez setki lat Akademia Nauk była tylko pustym, niezrozumiałym dźwiękiem, zaczęły odtąd interesować się jej pracami. Prace te stojące na najwyższym poziomie naukowym służą obecnie nie tylko, jak to bywało dawniej, za caratu, pogłębieniu i rozszerzeniu wiedzy teoretycznej, ale również interesom i potrzebom narodów Związku Radzieckiego. Rzeczywistością stało się to, o czym marzył Czernyszewskij, który powiedział: „Wierzę, że przyjdzie taki czas, kiedy po wygraniu walki z analfabetyzmem, zaczniemy pracować na rzecz nauki nie gorzej od Niemców i Francuzów, a może nawet i lepiej". Przedstawiciele nauki w Związku Radzieckim nie tylko pracują z wielką korzyścią dla ludów w skład jego wchodzących, ale osiągnięciami swoimi wnieśli wiele do światowego dorobku nauki. Najcięższą i najbardziej owocną próbę przeszedł radziecki świat naukowy w okresie wojny. Zarówno w dziedzinie techniki, jak i ekonomii nauka radziecka potrafiła przeciwstawić się nauce niemieckiej, która z chwilą, kiedy uczeni niemieccy poszli na służbę Hitlera i faszyzmu, staczać się zaczęła po linii pochyłej.

Naukowy świat radziecki szuka ustawicznie nowych form, nie mających nic wspólnego z tradycjonalizmem czy rutynizmem. Dał temu swego czasu wyraz Stalin, mówiąc: „Inteligencja nasza idzie śmiało po linii nowatorstwa w dziedzinie techniki i kultury. Pomyślnie rozwija współczesną naukę twórczą, zastosowuje jej osiągnięcia w dziedzinie uzbrojenia. Inteligencja radziecka dała swoją świadomą pracą wielki wkład w rozgromienie wroga".

Podczas sesji jubileuszowej, trwającej kilkanaście dni, na którą przybyli wybitni luminarze nauki zarówno z kontynentu, jak i zza oceanu, stosunki łączące świat uczonych radzieckich ze światem uczonych za granicą, zostały jeszcze bardziej zacieśnione. Osiągnięcia i cele wielkiego zjazdu naukowego w Moskwie, który zakończył się uroczystym przyjęciem uczonych na Kremlu, zobrazował w obszernym przemówieniu prezydent Akademii Nauk ZSRR prof. Komarow, oświadczając m. in.: „W okresie wojny międzynarodowe związki, łączące uczonych okrzepły jeszcze bardziej. Kraje demokratyczne, które wystąpiły przeciwko Hitlerowi, zwróciły się do nauki jako do broni, która miała przynieść zwycięstwo. W walce przeciwko faszyzmowi świat naukowy koalicji antyhitlerowskiej oparł się o swoje historyczne tradycje, o hasła demokracji i postępu. Ideały wolności i demokracji przyświecały zawsze przodującym kołom społeczeństwa angielskiego. Swoboda twórczości naukowej jest jedną z głównych cech europejskiego ośrodka naukowego — Londyńskiego Towarzystwa Królewskiego. Te ideały demokracji i wolności stały się punktem wyjścia genialnej działalności Bacona, Newtona, Faradaya i Darwina. Nauka rosyjska jest historycznie związana z angielską. Prace Darwina spotkały się w Rosji z oddźwiękiem świata naukowego. Dziś darwinizm ma w Związku Radzieckim drugą swoją ojczyznę. Nauka amerykańska jest również przesiąknięta ideałami postępu. Pierwszy wielki uczony amerykański, który zbadał elektryczność atmosferyczną i wynalazł piorunochron, to Beniamin Franklin. Był on nie tylko genialnym uczonym, ale walczył równocześnie o wolność. Rosyjski uczony Łomonosow był jednym z kontynuatorów Franklina. Radziecka Akademia Nauk ceni wysoko te tradycje i idzie po linii jak największego zbliżenia się do nauki amerykańskiej. Takie same uczucia wiążą nas z nauką francuską. Pamiętamy dobrze, w jaki sposób Paryż reagował na odkrycia Miecznikowa, Pawłowa i innych naszych uczonych."

Członkowie delegacji polskiej, którzy pod przewodnictwem prof. Kutrzeby brali udział w sesji jubileuszowej zarówno w Moskwie jak i w Leningradzie, niestety nie mogli poświęcić się całkowicie sprawom naukowym, ponieważ pochłonięci zostali w Moskwie przez wir wydarzeń politycznych. Profesorowie Krzyżanowski i Kutrzeba zostali zaproszeni do udziału w rozmowach moskiewskich, które doprowadziły do utworzenia Rządu Jedności Narodowej, zaś prof. Goetel uczestniczył w toczących się w Moskwie rozmowach czesko-polskich. Cały ciężar pracy i reprezentowania nauki polskiej przypadł więc w udziale prof. Lehr-Spławińskiemu, rektorowi Pieńkowskiemu, prof. Kowalskiemu, Hryniewieckiemu, Kotarbińskiemu i Hirschfeldowi. (J)

W OCZACH PISARZY*)

Ankieta „Odrodzenia"

Redakcja „Odrodzenia" zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana(i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana(i) wypowiedzi, w której uwzględniłby Pan(i) w sposób, jaki Pan(i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej, widzianej oczami już wyzwolonymi; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan(i) uzna za słuszny.

ZAMKNIĘTY KRĄG

W tamtej wojnie — w 1918 roku już polskiej — zdążyłem wziąć jeszcze udział krótko, lecz tyle, że dwudziestoletni pokój oceniam dziś jako moje poetyckie „para bellum". Międzywojnie, zwłaszcza jego drugą połowę przeżyłem w napięciu oczekiwania na wybuch, w lipcu 39 roku spieszyłem, wracając z zagranicy, z tą ustaloną przez lata i wiersze pewnością.

Moje pisarstwo, od czasu, gdy, po pierwszym porywie, stało się świadome, było moralnym przysposobieniem do przełomu. Od roku 1930 wyrażałem w poezji zbliżający się koniec starego ładu, z nadciągającą wojną wiązałem nadzieję na przemianę rewolucyjną świata.

Nie, nie odkształcam we wspomnieniu linii napięć uczuciowych tych lat; jak strzałka, jak strzała celowała ona w ów pierwszy września 1939 roku, który zastał mnie na samej granicy, dwieście kroków od niemieckiej tyraliery. Przedwojnie odczuwałem jako tymczasowe zawieszenie, prowizorium, i im bliżej, w miarę jak mnożyły się oznaki ostatecznego wyładowania, tym wyraziściej żłobił moje wiersze nurt wybuchowości, drżenie oczekiwania. Wojnę hiszpańską przeżyłem emocjonalnie, śledząc jej przebieg z Francji, jako bezpośrednią zapowiedź nieuniknionej rozprawy dwu światów: faszyzmu i rewolucji proletariackiej. To poczucie nadchodzącej wojny, wstrząsu tak gwałtownego, że zmieni wszystko, łączyłem z wiarą w zwycięstwo socjalizmu. Im bliżej, obsesja mającej wybuchnąć lada chwila wojny wzmagała się do wizji — jej już obecności, obecności we wszystkich sprawach dotkniętych wierszem. „Natchnienie — jak jutrzejsze dziś bombardowanie" — oto formuła, która ujmuje mój stan poetycki w r. 1937. „Równanie serca", zbiór wydany na rok przed wojną, zrobiony był z materii wybuchowej, słowa tam użyte są jak już zapalone lonty.

Tak przygotowany moralnie przeszedłem przez lata wojny, przez bombardowania i krótko przez więzienie — cień własnej śmierci — bez strachu i bez chwili zwątpienia. Przeciwnie, w miarę zarysowującego się coraz jaśniej zwycięstwa, wbrew naocznej grozie i okropności miałem niekiedy wrażenie, jakbym odbywał drogę powrotną do tych pierwszych lat niepodległości po pierwszej wojnie, kiedy zaczynałem swoją poezję; jakby się już dawno skończyła trwająca wojna, bo w antycypacji poetyckiego przeżycia skończyła się dla mnie z jej oczekiwanym wybuchem.

Byłem spokojny, choć nie wierzyłem, że przeżyję. Toteż niektóre wiersze z tych lat są jak słowa ostatnie, ich testamentalny charakter sprawia, że dziś czuję się tak wyzwolony z przeszłości, jakbym był własnym synem-pogrobowcem. Zaczynam drugie życie, wolne od udręki przedwojennej, od wrogiej i groteskowej rzeczywistości dwudziestolecia, gdy nie mogąc w niej, można było tylko przeciw niej żyć. Tylko bunt był wtedy uprawniony, tylko pragnienie przewrotu żywić mogło poezję idącą w rytmie historii.

Z doświadczeń tych lat, silniej niż przetaczające się fronty, działało na mnie pierwsze po latach dzieciństwa dotknięcie rękami ziemi, praca fizyczna; więcej wyniosłem dla swojej poezji z roboty w polu, ze współżycia i współpracy z sąsiadami, chłopami ze wsi rodzinnej. Wzgórzysty widnokrąg Gwoźnicy ze szczytem Patrą, tyle razy wzniesiony przeze mnie we wierszach, utwierdził się w moim wzroku tak, że widzę go, jak na przemalowanym obrazie, wrysowany w każdy oglądany krajobraz. Stał się wykresem wrodzonego mi odczuwania oblicza ziemi, tak jak tamtejsi małorolni, znajomi z twarzy, z poszczególnych prac i osobnych trosk a wspólnej biedy — sumują mi się w lud, w tę Polskę ludową, o której lepszą przyszłość trudzi się teraz rząd. Dotknięcie ziemi własną roboczą dłonią, uczestnictwo w codziennym wysiłku życia i w trosce ludu daje pewność — także poetycką. Myślę tu nie tylko o umocnieniu się w przekonaniach społecznych, ale przede wszystkim o tym poczuciu, że to co się musi napisać, musi być, będzie: całe a sprawdzalne jak Ziemia, gdy się nią okopuje ziemniaki. Wyznam, że nie dowierzam pisarzom wyszłym ze środowiska inteligencji i w nim zamkniętym właśnie wtedy, gdy wychylają się poza, nie tylko dla „studium". Bo „kto nie dotknął ziemi ni razu..." Trzeba żyć życiem, które ma ożyć w pieśni.

Trzymając się z dala od konspiracji Akowskiej, z lekka nawet śledzony, gdy szukałem kontaktu z ludowcami, zaprzyjaźniłem się z pisarzem chłopskim, Andrzejem Urbanem z Lutczy, autorem pamiętnika nr. 4, drukowanego w drugiej serii „Pamiętników chłopów". Jest to najlepszy utwór pamiętnikarski opublikowany w tym zbiorze, zwięzła powieść autobiograficzna, ujawniająca w chłopie głębię przeżyć wyjątkową. Urbanowi, jak wielu innym sąsiadom, którzy okazywali mi pomoc w mojej — mniejszej przecież niż ich — biedzie, zawdzięczam prócz fachowych rozmów gospodarskich cetnar mąki, który uratował mnie od głodowania. Urban był w ciągu dwóch lat moim jedynym przyjacielem literackim, z jakim obcowałem bezpośrednio. Pisywali do mnie przyjaciele krakowscy i ich dziełem był kolportaż pierwszych rękopiśmiennych egzemplarzy **„Póki my żyjemy"**. Okładkę do tego zbioru zrobiła Maria Jaremianka. Dopiero w kwietniu ubiegłego roku wybrali się do mnie z Krakowa dwaj nieznani mi przedtem młodzi entuzjaści poezji. Przyszli w roztopy, brodząc w przepaścistym błocie dwadzieścia kilometrów od ostatniej stacji, wyczerpani, ale wzruszająco entuzjastyczni: Tadeusz Jęczalik i Adam Włodek. Oni to słuchając chciwie tego co mówiłem o poezji, bardziej jeszcze ciekawi samej poezji, namówili mnie na konspiracyjne wydanie w maszynopisie jeszcze jednego zbiorku niejakiego Lesława Leskiego lub Bolesława Skietenia. Tomik nosił tytuł: **„Do ciebie o mnie"**. Im też zawdzięczam przygotowanie do druku tomu zbiorowego; dokonałem wyboru dawnych wierszy, włączyłem do zbioru utwory nieogłoszone, a oni podjęli się przepisania wszystkiego na maszynie. Front na pół roku rozdzielił mnie z młodymi entuzjastami. Przyjechawszy do Krakowa w dwa dni po jego wyzwoleniu, spotkałem się z nimi — pierwszymi wydawcami mojego dzieła: przepisali ten tom w dziewięciu egzemplarzach i ukryli w różnych miejscach, ażeby — na wypadek walk w mieście — miał więcej szans ocalenia! Tom ten **„Miejsce na Ziemi"** wyszedł właśnie z druku. Książka zamyka przeszło dwadzieścia lat pracy poetyckiej, całe jedno moje życie.

Julian Przyboś

*) Por. odpowiedzi H. Boguszewskiej, T. Brezy, J. Brzostowskiej, K. Czachowskiego, T. Czyżewskiego, H. M. Dąbrowolskiej, St. Flukowskiego, M. Jastruna, T. Kudlińskiego, J. Kurka, J. Kydryńskiego, Z. Malewskiej, H. Mortkowicz-Olczakowej, J. G. H. Pawlikowskiego, St. Podhorskiej-Okołów, E. Szelburg-Zarembiny, H. Wielowieyskiej, J. Zagórskiego i I. Zawieyskiego w nr nr 19—23 i 30—32 „Odrodzenia".

Po prostu

W obronie bohatera

Zarzuca mi Artur Sandauer, że atakując powieść współczesną za niezdolność do tworzenia postaci bohaterskich, korzystam z dwuznaczności terminu bohater, „którym określa się zarówno osobę główną w powieści, jak i heroiczną w życiu". Zbrojny w potęgę szkolnej stylistyki, zarzuca mnie Artur Sandauer całą furą uczonych określeń, wprowadzając subtelne rozróżnienia pomiędzy — typem, postacią i charakterem, aby „zawile" dojść do wielkiego odkrycia, że „Hamlet jest przecie nie typem, lecz prototypem hamletyzmu". Niewątpliwie! Gdyby Stanisław Dygat napisał powieść o krytyku Arturze Sandaurze, Artur Sandauer stałby się nie typem, lecz prototypem sandaueryzmu. Nie są to tylko złośliwości. Sam byłem długo formalistą. Jeżeli przestałem nim być, to dlatego, że formalizm, który nie umie i nie chce wyjść poza badanie wewnętrznej struktury dzieła, nie zdolny jest do wydania oceny, nie potrafi wartościować i sprowadza się w istocie do formułowania bardzo zawile częstych sądów tautologicznych. Na podstawie utworów pisarza konstruuje się jego poetykę, aby potem przymierzać do niej z powrotem utwory. Przypomina to przelewanie wody z jednej szklanki do drugiej. Winna jest metoda, a nie Sandauer; przeczytałem wiele rozpraw doktorskich, których pracowicie zebrane wyniki, jak choćby owo stwierdzenie, że najczęstsze kolory u Słowackiego — to purpurowy, złoty i srebrny, sprowadzają się do odkryć, że „Hamlet jest prototypem hamletyzmu".

Profesor Kotarbiński, ucząc na swoim seminarium ścisłości myślenia, kazał zawsze odnajdywać sens słowa najbliższy mowie potocznej. Pozorna dwuznaczność terminu „bohater" nie jest przypadkowa i więcej nam może powiedzieć o historii literatury od podręcznika szkolnej stylistyki. Bohaterami nazywamy ludzi, którzy dokonali czynów wielkich i niepospolitych. Jeżeli bohaterami nazwano główne postaci utworów literackich, to dlatego, że przedstawiały one przez całe stulecia ludzi wyolbrzymionych i uproszczonych, ludzi niezwykłych. Kiedy mówimy o Achillesie, Rolandzie, Hamlecie, Don Kichocie czy Julianie Sorelu, używamy zawsze słowa „bohater". Termin „postać" wprowadzony został do języka krytyki literackiej dopiero po roku 1848, kiedy powieść zaczęła przedstawiać ludzi szarych, tuzinkowych, i przeciętnych. Walcząc o bohaterskich bohaterów w literaturze, przywracamy jedynie słowu bohater jego pierwotne znaczenie.

Błędne jest bowiem twierdzenie Sandauera, jakoby wielki realizm powieści Stendhala, Balzaka i Tołstoja, nie tworzył wzorców, nie wyolbrzymiał i nie upraszczał. Vautrin jest prawdziwym bohaterem „Komedii ludzkiej". Jak Mefistofeles — pisze Georg Lukacs w szkicach „Z historii realizmu" (Moskwa, 1939) — zjawia się Vautrin dwukrotnie nagle i niespodziewanie na drodze Rastignaka i Lucjana de Rubempré, aby kupić ich dusze za cenę potęgi. Ale Mefistofeles balzakowski przestał być duchem zła i przybrał postać zbiegłego z galer katorżnika. Prawda, jaką głosi Vautrin, nie ma w sobie nic z metafizyki i to jest właśnie istotą realizmu Balzaka. „Cromwell katorgi" uczy Lucjana i Rastignaka rzeczywistej moralności mieszczańskiej, kodeksu praw gospodarki kapitalistycznej: gwałtu, przemocy i wyzysku. Vautrin ukazuje wolną od wszelkich złudzeń grę „Komedii ludzkiej".

Bohaterowie klasyczni uosabiali wielkie i wieczne namiętności, mitologizowali naturę ludzką. Bohaterowie Stendhala i Balzaka wyrażają prawa rozwoju społecznego. Jeśli Juljan Sorel, Vautrin i ojciec Goriot wyrastają jak wielkoludy ponad szarą przeciętność postaci powieści współczesnej, to dlatego, że losy ich nie są przypadkowe i indywidualne, ale ukute prawami historii. Balzac miał odwagę losy swoich bohaterów domyśleć i doprowadzić do końca, odczytać o nich poza dramatem indywidualnym dramat sprzeczności społecznych. Cichą bohaterką „Komedii ludzkiej" jest hipoteka, ale przemiany własności nieruchomej ukazane są nie jako skutek działania abstrakcyjnego prawa, ale w żywym starciu konfliktów indywidualnych. Aby w dziele literackim ukazać rzeczywisty obraz świata, nie trzeba, jak chce Sandauer, pisać o elektronach, czy choćby nawet podawać statystyki gospodarcze. Wystarczy, jak to czynili wielcy realiści, wyróżnić i wyolbrzymić zjawiska typowe. W czynach, w działalności człowieka Balzac odkrywa dzianie się historii. „Jedyną metodę, jaką posiadamy — pisze Sandauer — dla przewidywania przyszłości, jest marksizm; zarzucać autorom, że jej nie odgadli, to wymagać od nich, aby byli w przeszłości — marksistami". Sandauer „est plus marxiste que Marx". Biedni astronomowie! Nie wiadomo, w jaki sposób przewidują zaćmienie słońca. Nie trzeba być marksistą, aby przewidzieć, że kamień rzucony do góry spadnie na ziemię, lub że wypuszczenie większej ilości pieniędzy papierowych wywoła zwyżkę cen. Nauka pozwala przewidywać przyszłość i to jest jedna z jej najbardziej istotnych cech. Nauka nie jest niczym innym, jak uogólnieniem doświadczenia. Jeżeli Balzac był „przyszłościowcem", jeżeli w powieściach, pisanych w trzecim dziesiątku lat zeszłego stulecia, ukazał obraz mieszczańskiej Francji, wyprzedzający rzeczywisty rozwój stosunków społecznych o lat blisko trzydzieści, to nie dlatego, że był marksistą „avant la lettre", lub umiał przewidywać, ale ponieważ obserwował celnie, trafnie i prawdziwie.

Podobnie jak kruchy ślad, który ostry pancerz muszli wyrył przypadkowo na kawałku kredy, świadczy o kataklizmach geologii — wznoszeniu się kontynentów, przesuwaniu granicy wiecznego lodu, wymieraniu gatunków, klęska Dawida Sécharda i kariera Rastignaka ukazują przemiany historii, nieubłagane działanie prawa koncentracji kapitału, które niszczy drobne warsztaty i tworzy monopole gospodarcze. Aby dzianie się historii ukazać w powieści, historia musi ulec zgęszczeniu. Wielcy klasycy realizmu, wierni głębokiej prawdzie dziejów, lekceważyli powierzchowne prawdopodobieństwo sytuacji, z którego kanon literacki uczynili uczniowie Flauberta. Lucjan de Rubempré w ciągu dwóch dni i jednej nocy robi karierę literacką w Paryżu. Osiemnastoletni Julian Sorel, syn drwala, pasowany zostaje na geniusza. Oto wyolbrzymienia i uproszczenia.

Wielcy realiści nie wstydzili się własnych namiętności, przekonań i sądów. Wielki realizm nie jest sprzeczny z gniewem, buntem i pogardą. Julian Sorel wyrósł z nienawiści do społeczeństwa mieszczańskiego, którego „ogólną miarą — jak pisał Marks — jest mierność, czuła moralność i spokojny handel". Wielki realizm nie lękał się sądu epoki, ale sam ją sądził. I dlatego stwarzał bohaterów. Mały realizm nie rozumie historii i nie potrafi odczytać jej z czynów ludzkich. Niemoc swą okrywa fałszywym dogmatem o bezstronności artysty, która ma być nieodzownym warunkiem narodzin prawdziwego dzieła sztuki. Mały realizm lęka się sądu i namiętności, i dlatego niezdolny jest do wydania postaci bohaterskich. „Sławny przykład Flauberta — pisał André Malraux w przedmowie do „Czasów pogardy" — bardziej niż jakikolwiek inny przyczynił się do pomieszania pojęć. Flaubert, dla którego walor artystyczny był wartością najwyższą, który istotnie stawiał artystę ponad świętego i bohatera, tworząc jedynie postacie obce swoim namiętnościom, posunąć się mógł aż do napisania: „Unurzam ich wszystkich w tym samym błocie". Taka myśl byłaby niezrozumiała dla Ajschylosa i dla Corneille'a, dla Victora Hugo i dla Chateaubrianda. Byłaby i jest przyjęta przez wielu autorów, których nie ma celu im przeciwstawiać. Idzie tutaj o dwie zasadnicze koncepcje sztuki. Nietzsche uważał Wagnera za histriona, gdy ten oddawał swój geniusz na usługi stworzonym przez siebie postaciom. Ale można chcieć widzieć sens słowa sztuka w usiłowaniu uświadomienia ludziom ich własnej, nieznanej im wielkości"...

Jan Kott

Na „Fantazym"

Ludzie w Polsce mają prawo zobaczyć prawdziwy teatr, chociaż 90% z nich nie wie, na czym prawdziwy teatr polega i nie potrafiłoby określić, jakie właściwie są ich teatralne pragnienia. Co więcej, ludzie w Polsce chcą prawdziwego teatru, szukając go na oślep — o czym może przekonać się każdy, kogo lata wojenne nauczyły choć trochę obcowania ze zbiorowością i łowienia zbiorowych upodobań. Dla wielu z tych, co wynurzają się dzisiaj na powierzchnię pełnego życia, słowo „teatr" jest słowem magicznym. Kusi, przyciąga, obiecuje.

Bądźmy szczerzy. Ilu z ludzi, którzy poszli po raz pierwszy po pięciu i pół latach, a może i po raz pierwszy w życiu do teatru, wyszło z uczuciem nasycenia i rozkosznego upicia się rytmem i barwą, gestem, muzyką słów — z tym pijaństwem, nieodłącznym następstwem teatralnej magii? Ilu natomiast wyszło zakłopotanych, niepewnych co właściwie myśleć i mówić: niby dobra sztuka, niby dobrze grana, ale „to nie to", ale zapowiedź, jaka kryje się w słowie „teatr" nie została spełniona, brak było tego błysku teatralności, który rodzi się często przypadkiem w piosence, w zabawie, w amatorskim przedstawieniu. Ilu z tych zawiedzionych wróci do teatru, a ilu będzie go odtąd omijać? Oto pytania, dość, jak się zdaje, ważne dla startującego po długiej przerwie teatru w Polsce.

Bywa poezja, która jest poezją tylko z nazwy, bywa malarstwo, które tylko nazywa się malarstwem, bywa i teatr, który jest teatrem tylko z afisza. Określić, czym jest prawdziwy teatr, jest rzeczą, jak wiadomo, trudną. Jest to żywioł, a określać żywioły łatwiej mówiąc, czym nie są, niż mówiąc czym są. Od dziesiątków lat toczy się dyskusja o istocie teatru, o stylu teatralnym — szkoda, że dyskusji tej nie ma dzisiaj u nas.

Tak mniej więcej myślałem idąc na „Fantazego" do Teatru Wojska Polskiego w Łodzi. Mówiono, że to dobre przedstawienie. Niechże spełni tę zapowiedź, niech rozwiąże mój, a jeżeli mój, to i na pewno nie tylko mój osobisty kompleks teatralnego głodu. Czyżbym był dziwakiem? Czyżby mógł mi się podobać tylko taki teatr, jaki robił Spodek i jego towarzysze w „Śnie nocy letniej" — teatr improwizowany, teatr jarmarczny? Może nie jestem już zdolny do ocenienia „normalnego" teatru? Faktem jest, że zbyt mocno zachwycałem się dwoma konspiracyjnymi przedstawieniami, jakie nielicznemu gronu były dostępne w Warszawie za okupacji. Pierwsze z nich — to „Pastorałka" w układzie i reżyserii Leona Schillera. Aktorami były dziewczęta z domu poprawczego w Henrykowie. O, to był teatr. Matka Boska z Powiśla czy z Grochowa, bardziej ludzka, bardziej spokojna w bólu niż Madonny włoskie. Józef z głową ostrzyżoną po tyfusie, ze śladami długich lat nędzy i głodowania na twarzy. Jako widzowie dzieci szkolne, siąkające nosami. Wściekły temperament tych dziewczyn w tańcu pasterzy. To był teatr — ale teatr jarmarczny, ludowy, teatr „njenormalny".

Na drugie przedstawienie (reżyseria Józefa Wyszomirskiego) złożyła się „Komedia garbusów" — średniowieczna krotochwila francuska, „Pani Twardowska" Mickiewicza w przeróbce na scenę pióra Maliszewskiego i inscenizacje piosenek. Ruch, lotność, poezja, pękanie ze śmiechu — a wszystko popularne, a wszystko jarmarczne, cieszące równie dobrze analfabetę jak profesora uniwersytetu.

Może to obciążenia wojenne sprawiły, że w wolnym Krakowie szukałem i znajdowałem ów błysk teatralny nie w przedstawieniach „normalnego" teatru, ale w parodii „Męża doskonałego" Zawieyskiego, którą przygotowali uczniowie Studium przy Starym Teatrze, ale w „Śmierci Fauna" Tytusa Czyżewskiego, którą wystawił w Kawiarni Plastyków dr Dobrowolski, ale w teatrze marionetek „Groteska". Ale czy ja jeden? Gdzież tam. Miód, który smakuje jednej pszczole, nie może nie smakować innym pszczołom.

Nie, nie jestem dziwakiem. Stwierdziłem to na „Fantazym". Jest to dobre przedstawienie — pierwsze bodaj po wojnie, które przekroczyło granicę krainy teatralnych czarów. Zaszczyt ten przypadł zarówno Osterwie jako reżyserowi, jak świetnemu zespołowi teatru. Weźmy też pod uwagę, że dyrektor Krasnowiecki potrafił w ciągu tych miesięcy stworzyć koleżeńską i entuzjastyczną atmosferę wśród aktorów. Zaszczyt otwarcia granic teatralnej krainy w nowej Polsce przypadł również — Słowackiemu. Ta wielopłaszczyznowość tragikomedii, te piruety wiersza w obłokach przy równoczesnym mocnym osadzeniu na ziemi — to już jest owo poetyckie wibrowanie, które daje wewnętrzny ruch wątkom sztuki. Cała trudność polega na tym, na jakiej linii ustawić postacie: do jakiego stopnia posunąć ironię, z jaką traktuje je autor. Jedno drobne przesunięcie, a zmienią się w czysto tragiczne osoby. Jedno drobne przesunięcie — a zmienią się w złośliwie narysowane karykatury. Zdaje się, że balansowanie pomiędzy kpiną i tragedią, jakie zastosowano, najbardziej odpowiada zamierzeniom autora. Czwórkę aktorów trzeba przede wszystkim wymienić jako najlepiej i najmocniej zarysowane postaci: są to Romanówna jako hr. Idalia, Barszczewska jako Diana, Kreczmar jako Fantazy i Grolicki jako Rzecznicki.

Tak więc granica została przekroczona. Gdyby jednak mówić jak w zabawie dziecinnej: ciepło, ciepło, gorąco — nie podjąłbym się krzyknąć: ukrop. Gdybym musiał pokazać prawdziwy teatr komuś, kto nigdy nie był w teatrze, zaprowadziłbym go na „Pastorałkę" Schillera czy „Komedię garbusów". Są chyba sztuki, z których da się wykrzesać pewne maximum teatru i dalej już pójść nie można. Jak jest z „Fantazym", trudno orzec.

Jedno tylko spostrzeżenie: najsilniejszym teatralnie motywem sztuki jest przeciwieństwo pomiędzy pięknem otoczenia, dostojnością postaci z jednej strony, a ich rzeczywistą małością i plugawością — z drugiej.

Gdyby zastanawiano się nad tym, Teisseyre zrobiłby inne dekoracje, pokazałby w nich modny angielski park, dałby poczuć powiew fałszywej romantyczności, a może zastosowałby chwyt, dzięki któremu wnętrze pałacu hr. Respekta było by jeszcze bogatsze, jeszcze wspanialsze. Hr. Respekt byłby starszy (w tekście kilka razy Słowacki nazywa go starcem), mniej szczwany, bardziej obleśny i bogobojny, dzięki czemu lepiej uwydatniłby się jego brak skrupułów w handlu córką. Wiadomość o śmierci dziadka (co zmienia pozycję finansową rodziny), nie byłaby tak zatarta i przygnieciona umieraniem majora.

Ale to są rzeczy, które należą do reżyserów. Widz patrzy, słucha i wypowiada swoje uwagi jako człowiek, który chce się nasycić teatrem, chociażby w sposób niewyszukany. Na drodze stworzenia dla ludzi w Polsce prawdziwego teatru, „Fantazy" oznacza w każdym razie bardzo poważny krok.

Czesław Miłosz

Nieco filologii

Dziadek jego, niewolnik, zapewne nosił jeszcze pakunki za panami, lub pośredniczył w ich miłosnych intrygach jako postillon d'amour. Ojciec, już wyzwolony i, jak większość wyzwoleńców, zajmujący się nie bez powodzenia w małym miasteczku południowowłoskim handlem, marzył dla syna o wspanialszej karierze: chciał umieścić go jako kancelistę w jednym ze stołecznych urzędów. Szkoły średnie kończył świetnie zapowiadający się przyszły biuralista, Horacy, w atmosferze prowincjonalnej szanowności i różnic stanowych. Z jaką godnością — wspomina później — wysoko postawieni synowie wysoko postawionych oficerów (już centurion, nasz kapitan, był w małym mieście znakomitością) mijali go na drodze do szkoły, niosąc pod pachą tabliczkę z rysikiem i składając regularnie co 15-go czesne kierownikowi szkoły, Flawiuszowi. Dbały jednak o przyszłość syna ojciec nie chciał skazywać go na dożywotnią prowincję. Wysyłając go na studia do Rzymu, dołożył starań, aby w ekwipunku nie ustępował potomkom szlachetnie urodzonych i kupił mu nawet niewolnika, który by nosił za nim książki.

Bardziej jednak niż teoretyczne studia ukształtowały rodzącego się satyryka praktyczne lekcje ojcowskie. Ojciec ów, nie podobny do owych, uwiecznionych później przez Petroniusza, nowobogackich, u których zły smak łączył się z milionami w nierozdzielną całość, nie starał się bynajmniej zatrzeć śladów swego pochodzenia i cechę tę, cenniejszą od majątku, zostawił w spadku synowi. Rzec można, że oryginalność horacjańskiego geniuszu nie leży — jak on sam skłonny był przypuszczać — w tym, że pierwszy przeszczepił rytmy liryki starogreckiej do poezji rzymskiej, lecz że w sposób zarówno przedtem jak i potem niesłychany był wyzuty z jakichkolwiek snobizmów. Jeżeli już — co jest nieuniknione — snobował się na cokolwiek, to chyba — na przekór oczekiwaniom świata — na swoje niskie pochodzenie. W 18 wieków później znalazł się drugi plebejusz, zwolennik bezwzględnej szczerości i wróg konwenansów towarzystwa, do którego wdarł się od dołu: zwał się Jean Jacques Rousseau. Ale była to szczerość obliczona na budzenie podziwu, przesadna nieco i stylizowana. Horacy był przede wszystkim szczery wobec samego siebie. Nie wierzył w konsekwencję natury ludzkiej, a szczególnie swojej; i każda próba przybrania postawy wewnętrznej kończy się u niego ironicznym fiaskiem, żądłem satyry, zwróconym przeciw samemu satyrykowi.

W jednym z listów zachwala swój tryb życia, sielski, oddany książkom i rozmyślaniom. Mądrość — ciągnie dalej, biorąc filozoficzny rozpęd — daje swobodę, cześć, zdrowie, zastępuje majątek, urodę, chroni przed nieszczęściami prócz — kończy nagle — kataru. A oto jak przedstawia swój, liberalny i tolerancyjny, stosunek do niewolników. Jest czas wielkich świąt grudniowych, Saturnalia czyli karnawał, kiedy to na pamiątkę równości wszystkich ludzi w złotym wieku, czyli — jakbyśmy dzisiaj powiedzieli — w okresie bezklasowego społeczeństwa, dawano niewolnikom krótkoterminową wolność słowa i czynu. Zapytany przez jednego ze służby, czy pozwala mu wyzyskać ową okazję, by usłyszeć o sobie słowa prawdy... „Mów — odpowiada łaskawie Horacy, spodziewając się oczywiście pochlebstw — mów..." Gdy jednak niewolnik, wziąwszy pozwolenie zbyt dosłownie, wylicza długą litanię jego grzechów, tolerancyjny — póki liczył na komplementy — poeta traci cierpliwość: „Kija! Jeżeli nie wyniesiesz się stąd natychmiast, to..." Nie sposób — zdaje się mówić zaktualizowanym nieco językiem Horacy — nawet na krótki okres liberalnych świąt — opuścić swe stanowisko społeczne, którego nieubłagany przymus bierze w końcu zawsze górę nad osobistą humanitarnością.

Prawda, że pedantyczne, w stylu stoickim utrzymane, kazanie niewolnika raziło nie tylko ambicję Horacego; drażniło go ono również ideologicznie. W nikogo nie wymierzył ów realista więcej złośliwości niż w stoików właśnie, którzy „zapuściwszy — jak powiada — filozoficzną brodę", wyobrażają sobie, że można argumentami logicznymi i samoopracowaniem wznieść się ponad przypadłości świata i głoszą nieustępliwy, pozbawiony poczucia humoru, ideał moralny. Niechęć do idealizowania czegokolwiek, a zwłaszcza siebie doprowadziła Horacego do przeciwnej skrajności: robił wszystko, co możliwe, aby się spospolitować, ba nawet oczernić, przed czytelnikiem. Nie dość, że chwalił się — jak wspomnieliśmy — swym niewolniczym pochodzeniem i że starał się umniejszyć swe wysokie stanowisko przy dworze; nie dość, że odmalował w nader niepochlebnych wyrażeniach swój wygląd zewnętrzny, niski wzrost i pykniczny brzuszek (którego istnienie potwierdza cesarz August w liście do poety, gdzie ubolewa, że „przesłany mu rulon wierszy jest tak chudy i nie dorównuje objętości swego autora w pasie"); nie dość tedy, że zgubił się na zawsze w oczach potomnych wielbicielek, ale starał się dać nam również jak najmniej heroiczne wyobrażenie o swoim charakterze.

Opowiadając o swojej przeszłości wojskowej (służył bowiem za młodu w armii i to po stronie przeciwnej cesarzowi, z czego wcale — wbrew zdrowemu rozsądkowi — nie robił tajemnicy) nie omieszka dla ścisłości zaznaczyć, że stopień oficerski trybuna otrzymał nie całkiem zasłużenie; i wreszcie, co stanowi chyba szczyt niedołęstwa i braku poczucia kariery w okresie, gdy panowała moda na heroizm, miał jedyny bodajże odwagę nie być bohaterem, przyznając bez trudu i to wierszem, że uciekł z pola bitwy, „porzuciwszy niepięknie tarczę". Sądzić jednak należy, że cywilna odwaga, której wymagało podobne przyznanie, wyrównuje przynajmniej częściowo brak odwagi wojskowej.

A przy tych wszystkich dziwactwach był to doskonały poeta. Prawda, że nieco awangardowy, który nietrzeźwość np. potrafi określić słowami: „Głowie wina przybyło, a liczby latarniom"; który, parodiując literata Furiusza, piszącego o zimie: „Gdy Jowisz śniegiem opluje Alpy", powie: „Gdy Furiusz śniegiem opluje Alpy"; który, nieulękły wobec przyszłych podejrzeń o tzw. kreacjonizm, wyrazi się o swej pracy pisarskiej: „Cierpi ściana, stworzona dla gniewnych poetów". Przyznajemy chętnie, że miał karygodną skłonność do tego rodzaju stylistycznych wybryków, które by mu dziś zdobyły miano nierealisty i niezrozumialca. Ale ponieważ umarł i to bardzo dawno, więc sądzę, że można mu ją wybaczyć.

Artur Sandauer

Zagadnienia krytyki teatralnej

Sprawa sprawozdań teatralnych poruszona przez Tadeusza Kwiatkowskiego („Odrodzenie", nr 30), to zagadnienie niezwykle skomplikowane i wcale nie takie łatwe do rozwiązania, jakby się pozornie wydawało. Już od dawna tak zwany świat teatru, a więc reżyserzy, aktorzy, dekoratorzy, kostiumerzy, zarzucali krytyce teatralnej, że jest zanadto literacka, a za mało teatralna. Zarzut formalnie nie pozbawiony słuszności. Istotnie w polskiej krytyce teatralnej ocena sztuki z punktu widzenia literackiego, społecznego, czy artystycznego zajmuje o wiele więcej miejsca, aniżeli ocena i analiza dokonań i osiągnięć samego teatru.

Działo się to i dzieje z różnych powodów. Przede wszystkim krytycy to przeważnie ludzie zrośnięci raczej z literaturą, niż z teatrem. Sprawozdanie teatralne, drukowane bądź w piśmie codziennym, bądź w periodyku, musi mieć przecież nienaganną, a przynajmniej dobrą formę literacką. Cóż z tego, że niektórzy ludzie doskonale znają mechanizm i technikę teatru, kiedy nie potrafią podać swoich wiadomości i spostrzeżeń w formie, nadającej się do druku. Bliski kontakt ze środowiskiem teatralnym jest dla krytyka teatralnego bardzo wskazany.

Drugą sprawą wysuwaną przez świat teatralny są ciągłe skargi na brak należytego szacunku świata krytyki teatralnej dla samego procesu pracy w teatrze, dla wysiłków, jakich wymaga każde widowisko. Skargi te są słuszne tylko częściowo. Nie ulega wątpliwości, że sprawa wysiłku to kwestia istotna i godna uwagi. Ale krytyk jest odbiorcą tego, co ten wysiłek stworzył. Oceniając jakość towaru odbiorca przy całym szacunku dla trudów i wysiłków producenta, musi jednak oceniać przede wszystkim wartość produktu, a nie ilość trudu i pracy, potrzebną do powstania tej wartości. Tymczasem wielu reżyserów i aktorów wychodzi z założenia, że skoro się natrudzili i napracowali, krytyk powinien ocenić widowisko przede wszystkim ze stanowiska tego trudu i pracy.

Skarży się polski świat teatralny na to, że poszczególne ujęcia reżyserskie i aktorskie spotykają się ze strony krytyki teatralnej przeważnie z ocenami zdawkowymi, nie dającymi ani reżyserom, ani aktorom wskazówek, że pozbawione są one charakteru pedagogicznego. Zarzuty i skargi niewątpliwie słuszne. Jedna tylko korektura: istnieją niezaprzeczenie osiągnięcia reżyserskie i aktorskie na wielką miarę, które zasługują i wymagają głębszej, bardziej wnikliwej analizy krytycznej. Ale przyzna chyba każdy nieuprzedzony i bezstronny, że pozycji tego typu było u nas i jest niezbyt wiele. Większość widowisk teatralnych nie odznacza się niczym wybitniejszym, ciekawszym, jest rzemieślniczym rezultatem rutyny i szablonu. Nie można więc wymagać od krytyka teatralnego, by produktom takiej rzemieślniczej roboty, chociażby nawet i dobrym, poświęcał z reguły uwagę. Nie zapominajmy także, że świat teatralny to środowisko o bardzo czułych, niejednokrotnie przesadnych ambicjach, że ambicje te nieraz grają większą rolę, aniżeli samo dobro, sama istota sprawy.

Jeżeli chodzi o krytykę teatralną, to wydaje mi się, że nie grozi jej przerost strony literackiej, czy społecznej. Zwłaszcza dzisiaj w obliczu nowej rzeczywistości. Przecież kwestia doboru repertuaru, zagadnienie, co grać należy, ocena sztuki ze stanowiska oddziaływania na masy, które, powiedzmy to sobie zupełnie szczerze, w dalszym ciągu dalekie są od teatru z prawdziwego zdarzenia, to sprawy dziś niemniej ważne, a może ważniejsze od tego, czy dany sprawozdawca teatralny poświęcił odpowiednią ilość uwagi i miejsca realizacji scenicznej. A jeżeli chodzi o stronę wychowawczą sprawozdań teatralnych dla reżysera i aktora, jeżeli chodzi o ścisłą analizę strony dekoracyjnej i kostiumowej, to wszystko to powinno być przedmiotem rozważań w pismach poświęconych wyłącznie zagadnieniom teatru. Próby takich pism podejmowane były przez ZASP, który przez długie lata wydawał „Scenę Polską", podejmował je również w Warszawie W. Brumer w piśmie „Życie Teatru". Niestety i w tych pismach analiza czysto teatralna widowiska nie stała na odpowiednim poziomie, niestety i z tych pism reżyser, aktor i dekorator niewiele mogli się nauczyć. Niezawodnie prędzej czy później powstaną w Polsce pisma poświęcone wyłącznie zagadnieniom teatru. Nie mogą, nie powinny one iść po tej linii, po której szły dotychczas. Muszą nie tylko oceniać, ale i wychowywać.

Należy sobie ponadto uświadomić, że krytyk teatralny, pozbawiony szerokiej skali porównawczej, nigdy nie będzie właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Tylko porównanie szeregu osiągnięć reżyserskich i aktorskich w tej samej sztuce, tylko spojrzenie, jak ten sam utwór ujmują i grają różne zespoły aktorskie, umożliwia ocenę o szerszych, głębszych horyzontach. Niestety pod tym względem działo się u nas zawsze i dzieje się w dalszym ciągu niedobrze. Krytyk teatralny jest przeważnie zbyt osiadły i zbyt mało ruchliwy. Tylko wyjątkowo zdarzało się, aby warszawski krytyk teatralny pojechał do innego miasta w Polsce i widział tę samą sztukę w różnych ujęciach i interpretacjach. Tylko wyjątkowo krytyk wyjeżdżał za granicę, studiował i badał, jak pewne sztuki wystawiane są w Paryżu, Moskwie czy Londynie. Ten brak skali porównawczej zaciążył i ciąży w dalszym ciągu na naszej krytyce teatralnej. Jest powodem niejednego niedociągnięcia i nieporozumienia.

Jacek Frühling

Życie muzyczne w Krakowie

W życiu muzycznym Krakowa zanotować należy w ostatnich czasach bardzo zdrowy objaw: zmniejszenie się ilości recitalów solowych na rzecz koncertów symfonicznych. Jest to najpewniejsza i jedyna może droga podniesienia kultury muzycznej. Ogranicza się w ten sposób z konieczności wszelkie uboczne, pozamuzyczne zainteresowania publiczności koncertowej, skupiając je na samym programie, a więc na samym dziele muzycznym, co ma duże znaczenie pedagogiczne. Równocześnie kieruje się samych artystów na tę drogę: muzykując z orkiestrą, solista jest mimo woli wciągnięty w krąg muzycznej pracy zbiorowej, musi ustawicznie korygować i kontrolować swój stosunek do dzieła, którego jest współwykonawcą, musi się zdobyć na obiektywizm w stosunku do dzieła i kompozytora. Tego zresztą wymaga się i od kapelmistrza. On także jest wykonawcą, ale instrument zbiorowy, którym się posługuje, tj. orkiestra, zmusza go do najdalej posuniętego obiektywizmu w stosunku do wykonywanego dzieła.

Ważnym atutem jest sprawa samej orkiestry. Wciągnięcie pewnej ilości instrumentalistów do orkiestry Filharmonii nie oznacza jeszcze powstania dobrego zespołu symfonicznego. Orkiestra — choćby miała najlepszy skład — potrzebuje odpowiedniego zgrania się, ciągłej pracy zespołowej, stałego dyrygenta i kierownika, który by się nią opiekował, interesował i wskazywał jej właściwą drogę.

Stwierdzić należy, że zespół Filharmonii krakowskiej, pozostający pod kierownictwem Zygmunta Latoszewskiego, zrobił przez okres kilkumiesięczny bardzo wiele. Postępy, jakie wykazał w ostatnich koncertach, są zdumiewające. Przede wszystkim czuje się w nim nie pojedyńcze wysiłki poszczególnych ludzi, ale intensywną pracę zbiorową; jest to już jednolity aparat, który „gra" pod ręką kapelmistrza przy coraz dalej idącym zróżnicowaniu i technicznym wydoskonaleniu poszczególnych grup.

Wykazały to zwłaszcza ostatnie dwa koncerty, z których pierwszym dyrygował **Tadeusz Wilczak**, drugim **Andrzej Panufnik**. Uwertura Moniuszki „Flis" brzmiała pod batutą Wilczaka świetnie, miała należyte tempo, lekkość i przejrzystość. Z IV Symfonii Czajkowskiego wydobył jej głęboko tragiczne akcenty części pierwszej i ostatniej, a zarazem leżącą w samej kompozycji — tak czestą niestety u Czajkowskiego — ich wewnętrzną niewspółmierność w stosunku do części III. W koncercie tym śpiewała **Stanisława Wiśniewska** pieśni Szymanowskiego z dużą muzykalnością i kulturą. Pięknie wypadł zwłaszcza „Łabędź" oraz „Jestem i płaczę" przy subtelnym akompaniamencie **Jana Hoffmana**. Mniej szczęśliwie brzmiały Polonezy Ogińskiego-Palestra na poprzednim poranku. Niektóre partie zrobione były wprawdzie bardzo finezyjnie, ale w całości nie uwydatniono tempa, które zmienia się w poszczególnych częściach. Solistą tego poranku był młody pianista **W. Kędra**, który wykonał Schumanna koncert a-moll z orkiestrą (wystąpił też w dwa dni później z własnym recitalem). Urodzony talent pianistyczny, technicznie pod każdym względem znakomity, rozporządzający wyjątkowo pięknym tonem, nie wydobył jednak Kędra romantyzmu z tego koncertu, w którym wszystko — nawet najdrobniejsze partie i przejścia muzyczne — są śpiewem i melodią. Brakło tego bezpośredniego, tak charakterystycznego dla utworu, porywu, którego, być może, trudno wymagać od współczesnego artysty, wstrzemięźliwego w wyborze środków wyrazu.

To nastawienie na wskróś współczesne wykazał jako dyrygent i jako kompozytor Andrzej Panufnik, jeden z naszych najmłodszych i najzdolniejszych. Rozstrzyga ono o wszystkich tak dodatnich, jak i ujemnych cechach jego psychiki artystycznej. Od pierwszej chwili rzuca się w oczy, że Panufnik dobrze się czuje przede wszystkim — a może i wyłącznie — w atmosferze muzyki nowoczesnej. Serenada Mozarta wypadła dość blado, Koncert Brahmsa, w którym witaliśmy po długiej przerwie znakomitą skrzypaczkę **Eugenię Umińską**, świetną wykonawczynię partii solowej, nie był przez dyrygenta osadzony w należytej atmosferze treściowej. Ale za to jakże świetnie wypadł „Epizod na maskaradzie" Karłowicza z jego typowo straussowskim aparatem orkiestralnym. Kontrasty nastroju oraz skomplikowane nieraz gry motywów zostały należycie uwydatnione. Świetne osiągnięcie techniki dyrygowania wykazał Panufnik we własnej „Uwerturze tragicznej" Kompozycja ta, trudna do wykonania, jest jednym z najciekawszych dokumentów współczesnej twórczości muzycznej, nie tylko polskiej. „Tragiczna" istotnie w swym wewnętrznym szamotaniu się, jest protestem formalnym przeciwko wszelkiemu liryzmowi bezpośredniemu melodii nastrojowej. To już nie krótkooddechowa melodia, tak dobrze nam znana u kompozytorów współczesnych, ale prawie skreślenie melodii z arsenału środków wyrazu, którymi zwykła się posługiwać dawniejsza muzyka. Nieubłaganie ścisła logika intelektu, logika owego drobnego motywu chromatycznego, snującego się nieprzerwanie w najróżniejszych przemianach i kombinacjach przez cały ciąg utworu, wstrząsy dynamiki, nieoczekiwane, ponure; twarde współbrzmienia i zestawienia instrumentów — oto elementy muzyki Panufnika. Jesteśmy niezmiernie ciekawi innych dzieł autora „Tragicznej".

Jedynym — obok Kędry — recitalem solowym, był wieczór szopenowski **Haliny Sembrat**. Pianistka ta posiada niewątpliwie duży talent, w pierwszym rzędzie bardzo piękne, subtelnie zróżnicowane uderzenie w pianach. Szkoda, że dziwna jakaś nerwowość nie pozwala jej zrealizować dużych możliwości interpretacyjnych. Nerwowość ta wyraża się w niepoprawnym często traktowaniu frazy szopenowskiej, która w interpretacji Sembrat albo ulega zmanierowanym rubatom, albo przeciwnie, przechodzi bez właściwego wydechu i brak jej powiązania logicznego z całością utworu. Wynikają z tego często dowolności w traktowaniu tekstu, które są nie do pomyślenia przy poważnym stosunku do utworu muzycznego. Dużą winę ponosi w tym technika mało plastyczna, która gubi subtelne kontury melodii szopenowskiej.

Stefania Łobaczewska

Kalendarz kulturalny

W Warszawie Zarząd Główny Samopomocy Chłopskiej organizuje w dn. 3—5 sierpnia b. r. Zjazd Pisarzy Chłopskich. Zjazd zamierza wytyczyć nowe kierunki dla twórczości ludowej. Jako jeden z głównych problemów omawiania będzie sprawa opieki nad najmłodszymi pisarzami chłopskimi. W skład Komitetu Organizacyjnego Zjazdu wchodzą: Józef Bojar, Marian Kubicki, J. A. Król, Antoni Olcha i Stanisław Piętak.

„LIOK". Ludowy Instytut Oświaty i Kultury powstał w podziemiu w roku 1940. Głównym celem „LIOK"-u jest opracowanie naukowe spraw związanych z działalnością kulturalną i społeczno-oświatową oraz służenie praktycznymi wskazówkami w pracy oświatowcom i działaczom społecznym. „LIOK" mieści się w Warszawie, ul. Smulikowskiego 1.

Referat Literatury i Sztuki Ludowej powstał przy Naczelnym Komitecie Wykonawczym Stronnictwa Ludowego. Kierownikiem referatu jest Józef Bojar. Referat organizuje bibliotekę piśmiennictwa ludowego, gromadzi przedwojenne ludowe czasopisma literackie oraz wydawnictwa z czasów okupacyjnych, wyrażające walkę chłopa z hitlerowskim najeźdźcą (materiały Armii Ludowej, pieśni partyzanckie Batalionów Chłopskich itd.).

Dyrektor Departamentu Teatralnego w Ministerstwie Kultury i Sztuki Arnold Szyfman ustępuje na własne życzenie z zajmowanego stanowiska, aby objąć dyrekcję Teatru Polskiego w Warszawie. Inauguracja przewidziana jest na listopad b. r. Jedną z pierwszych sztuk objętych repertuarem będzie „Legenda o mądrym mężu" Artura Maryi Swinarskiego.

Ostatni numer „Dziennika Ustaw R. P." zamieszcza tekst rozporządzenia Rady Ministrów o automatycznym przechodzeniu nauczycieli do wyższych grup uposażenia oraz o funkcyjnych i służbowych dodatkach lokalnych. Wprowadzone zasady przewidują m. in. dla nauczycieli publicznych szkół powszechnych uposażenie od grupy X do V; dla nauczycieli państwowych szkół średnich od VIII do V; dla kwalifikowanych instruktorów w szkołach zawodowych — od IX do VI; dla niekwalifikowanych nauczycieli niższych szkół zawodowych — od X do IX; dla niekwalifikowanych nauczycieli średnich szkół zawodowych — od IX do VIII; dla nauczycieli szkół wyższych — od VII do V. Zaszeregowanie nauczycieli do nowych grup uposażenia, przewidzianych w rozporządzeniu następuje z ważnością od 1 stycznia 1945 r.

W Łodzi rozpoczęto realizację nowych filmów polskich, a mianowicie: filmu p. t. „Teatr mój widzę ogromny", przedstawiającego historię powstania Teatru Wojska Polskiego w ZSRR (scenariusz napisał J. M. Szancer, zdjęcia pod kierunkiem St. Wohla) oraz drugiego, o charakterze muzycznym, p. t. „Ballada F-moll Chopina", zawierającego zdjęcia ruin Warszawy w artystycznym układzie montażowym, według pomysłu Andrzeja Panufnika. W opracowaniu jest ponadto szereg innych obrazów. Zbigniew Gniazdowski przygotowuje film o szkolnictwie. Życie odradzającej się Warszawy ilustrować będzie drugi film średniometrażowy według scenariusza i reżyserii Stanisława Urbanowicza. Niebawem nakręcony zostanie film naukowy o dzieciach p. t. „Ręce dziecka przy pracy i zabawie" według scenariusza profesora Szumana. Leon Buczkowski przygotowuje film reportażowy o 4 portach morskich Odrodzonej Polski: Gdańsku, Gdyni, Kołobrzegu i Szczecinie. Opracowuje się również scenariusze trzech filmów długometrażowych. „October" Adolfa Rudnickiego — obrazuje życie konspiracyjne stolicy w czasie okupacji. „Robinson Warszawski" Jerzego Andrzejewskiego i Czesława Miłosza opowiada o życiu w zburzonej Warszawie przed wyzwoleniem jej od Niemców. Interesująco przedstawia się scenariusz według pomysłu znanej aktorki Miry Zimińskiej o Moniuszce, ujęty w formę komedii muzycznej na tle powstania opery „Halka".

Ukazał się 6 numer wychodzących w Moskwie pod redakcją Wandy Wasilewskiej „Nowych Widnokręgów", który m. in. zawiera list Juliana Tuwima pisany w Nowym Yorku p. t. „My, Żydzi polscy"..., dalszy ciąg imaginacyjnego reportażu sądowego Kasjusza p. t. „Sąd nad Mussolinim", „Warszawiankę" Jerzego Andrzejewskiego, fragment z leningradzkiego pamietnika Wiery Inber z okresu blokady, „Kraków literacki podczas okupacji" Witolda Zechentera.

W Łodzi czynny jest jedyny w Polsce Państwowy Wyższy Kurs Nauczycielski, zorganizowany przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego. Kurs przeznaczony jest dla czynnych i wykwalifikowanych nauczycieli szkół powszechnych i ma na celu pogłębienie wiedzy nie tylko w dziedzinie pedagogicznej ale i ogólnej, zapoznanie nauczycieli z najnowszymi zdobyczami nauki oraz uświadamianie ich w aktualnych zagadnieniach społeczno-politycznych. W bieżącym roku szkolnym Wyższy Kurs Nauczycielski posiada tylko jeden wydział, obejmujący grupę nauk pedagogicznych: psychologię, pedagogikę, dydaktykę ogólną i naukę o Polsce.

We Wrocławiu Grupa Kulturalno-Naukowa po zabezpieczeniu budynków i urządzeń uniwersyteckich, politechnicznych i muzealnych, przystąpiła do drugiego etapu działalności, mianowicie do właściwej organizacji Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu na podstawie rozszerzonych pełnomocnictw organizacyjno-personalnych, przyznanych kierownikowi grupy, profesorowi Kulczyńskiemu przez Ministerstwo Oświaty. Komitet organizacyjny, który powstanie niebawem, będzie zaczątkiem przyszłego Senatu Uniwersytetu we Wrocławiu.

W Krakowie w lokalu Związku Zawodowego Literatów odbył się siódmy wieczór autorski w ramach cyklu p. t. „Żywa książka", w którym udział wzięli: Czesław Miłosz (wiersze z cyklu p. t. „Głosy biednych ludzi" oraz fragmenty poematu p. t. „Świat") i Stefan Kisielewski (fragment powieści p. t. „Sprzysiężenie"). Słowo wstępne wygłosili: Kazimierz Wyka i Jerzy Andrzejewski.

„Lompa". Teatr katowicki im. St. Wyspiańskiego wystawił „widowisko śląskie" w 4 obrazach Kazimierza Gołby pt. „Lompa". Rolę tytułową grał Karol Adwentowicz.

W Bydgoszczy powstał oddział pomorski Związku Polskich Artystów Plastyków. Organizacją zajmuje się prof. Marian Turwid.

„Arkona". Pod redakcją Mariana Turwida i Alfreda Kowalskiego ma się ukazać w Bydgoszczy pismo „Arkona", poświęcone sprawom kulturalnym Pomorza.

W Bydgoszczy powstał Klub Literacko-Artystyczny. Klub projektuje organizację cyklu wieczorów autorskich współczesnych pisarzy polskich oraz wieczory dyskusyjne.

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 10 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62. — Prenumerata miesięczna 21 zł., kwartalna 63 zł. — Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".
M 02909